

HANS HEINZ EWERS



ŻYDZI Z JÊB

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“ (ERDTRACHT)

WARSZAWA ∴ LWÓW ∴ WIEDEŃ ∴ NEW YORK

Edz. architektury III

HANS HEINZ EWERS:
ŻYDZI Z JEB

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-68

III Wydział

HANS HEINZ EWERS

ŻYDZI Z JÊB

INSTYTUT
BADAŃ LITERATYKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 73
Tel. 26-68-68

Wydanie drugie



INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE” (Erdtracht)
WARSZAWA ·· LWÓW ·· WIEDEN ·· NEW YORK

21 930



21:930

Copyright by Interterritorial Publishing Concern „Renaissance”
Warszawa Lwów Wiedeń New York
Wszelkie prawa przez wydawcę zastrzeżone



HANS HEINZ EWERS.

Dusza ludzka, to wytwór czasu: w mistycznej kuchni warzą ją tajemnicze moce. Każdy wiek innej odmiany tworzy, a każda z tych odmian ma odmian miliony. Rzadko kiedy dusza, „dziś“ zrodzona, wyprzedza to „dziś“, należąc do „jutra“; rzadko tak jest, ale gdy się zdarzy, to rzecznik i bojownik nowych, światoburczych idei zadziwia, gorszy, lub entuzjazmuje współczesnych.

A jakaż dusza Ewersa? — czy ona „dziś“ wyprzedza, czy też należy już do „jutra“, lub to „jutro“ przynajmniej zapowiada?

Dziś ona jeszcze echem dnia, ale w talencie Ewersa tyle jest żywiołowej siły, tyle bogactwa pełnego niezwykłych, odurzających niespodzianek i tyle ponad wszelką miarę silnego ukochania piękna, że może już jutro będzie ona nie personifikacją „ducha czasu“, ale apostołem nieznanego „jutra.“

Ale i dziś już ta, namiętna w szukaniu doskonałości, dusza jest zjawiskiem niecodziennem, a niecodziennem dlatego, bo może żadna lepiej, niż ona nie odzwierciedla równie dokładnie szamotań, rojeń, zwątpień i pragnień współczesnej Psyche. Mistrzynie kuchmistrze indywidualności zawarli w duszy Ewersa wszystko co charakteryzuje schyłek XX-ego stulecia, więc wyrafinowaną zmysłowość z gestami Petronima, więc dziką żądzę użycia w rękawiczkach wytwornej kultury, więc tęsknotę za poznaniem tajemnic drugiego świata, boć on może lepszy, boć on pewno lepszy, niż dumna z aeroplanów „dolina łąz“, więc wreszcie intenzywne, mrówcze szukanie Boga, boć on może pocieszy, pokrzepi nieszczęsne ludzkie plemię, które już samo siebie zaczyna nienawidzić.

Prócz tych ogólnych cech ma ta dusza bujna i bogata — rozumie się — i swoje własne, a znamienite: po matce, podobnie, jak Goethe, odziedziczył dar do snucia bajek w szarej godzinie, a po ojcu niezem niepohamowaną tęsknotę za nieznanem, wciąż nowem i wciąż zmiennem. Jego ojciec, urodzony nad morzem, malując przez pół życia portrety

na dworze duesseldorfskim, tęsknił wciąż za morzem; jego matka zaś pisywała, swego czasu, bardzo poczytne, a serdeczne i kochane bajki dla dzieci.

A jeszcze jedną dziwną właściwość ma dusza Ewersa: on tak ukochał i tak zespolił się z Allanem Poe i z Oskarem Wilde'm, że chwilami się zdaje, iż w jego piersi nie jedna jest dusza, ale trzy: jego własna, Poe'go i Wilde'a.

Wrażenie to uparte i trwałe przyszło do mnie, gdy w noweli Ewersa, zatytułowanej „C. 33.“, czytałem przedziwnie smutną, a plastyczną wizję jego spotkania się na Capri z dawno już wówczas zmarłym Wilde'm. Pieśniarz „Salomy“ ironizuje swoje własne „ja“ i żali się, że jego cela, oznaczona znakiem: „C. 33“ smutna jest i chłodna. Trudno sobie wyobrazić, aby mógł się kto wżyć dokładniej, bardziej intuicyjnie i z większą miłością w cierpienia drugiego, jak to Ewers czyni w tym przepięknym szkicu.

*

Ewers kocha i współczuje z wszystkimi i z wszystkim, co miłości godne i miłości złażnione. I nie czyni on różnic, gdy serce swe rozdarowuje, czy to duch z nim spokrewniony, jak Wilde, czy to towarzysz z ławy szkolnej, czy biedny żydowin z ghetta, lub też bezradne jakieś stworzenie: mucha, motyl, pszczoła.

I tak było od najwcześniejszej jego młodości; matusia Heinza, pani Marja, lubi o tem opowiadać:

„W naszej kuchni zagnieżdżyły się myszy; kucharz łapki ponastawiał; gdy się o tem dowiedział mój Heinz, przybiegł do mnie z błagalną prośbą, abym zabroniła zabijać ładne myszki. Przekonywałam go długo, że czasem musi się zabijać! Wreszcie odszedł, ze łzami w oczach; tej nocy — słyszałam — długo usnąć nie mógł. Rano kucharz narobił krzyku: co się okazało: o świcie wkradł się Heinz do kuchni, powynosił łapki, do których myszki się znęciły, i pouwalał wszystkich więźniów.“

Heinz Ewers był uparty; lubiał postawić na swoim; rozkazem, gniewem trudno było u niego coś wskórać — uginał się jeno przed cierpliwą dobrocią.

To też powód, dlaczego mu się w szkole nie nazbyt dobrze wiodło; zwłaszcza profesor matematyki nie bardzo go lubiał, bo nie mógł zrozumieć, że można więcej się interesować motylami, niż logarytmami. Echa żalu Heinza do profesora matematyki można nawet się dosłuchać w jednej z jego najmilszych utworów w „Uczniu czarnoksiężnika“ („Der Zauberlehrling“). Tam bohater opowieści skarży się w rozmowie z swoim ukochanym pudlem: „Prawda, że nie tęgim jestem w matematyce, ale ja darowałem jego ciotce świnki morskie, więc dlaczego on dla mnie taki niedobry? nie każdy może tak znakomicie rachować, jak profesor matematyki! Powiedz mi pudlu, co trzeba robić, aby wszyscy ludzie byli dla człowieka dobrymi?“

Ale mimo, że był „słabym w matematyce“, wyszedł Ewers na człowieka: „twarda ręka“ szkoły sprawiła jeno to, że on, którego charakteru rdzeniem była łagodność, lęklivość, miękkość i dobroć, podrażniony w swej uczniowskiej ambicji, udawał przed profesorami i kolegami, twardego, bezwzględnego i przemądrego.

I to „udawanie“, to noszenie hardej, nieco nawet cynicznej maski stało mu się potrzebą i na późniejsze lata. Poeta jeszcze dziś tę maskę nosi i to nie tylko w życiu, ale i w swych utworach.

Niejednokrotnie może się w pierwszej chwili zdawać, że jedynym celem jego dzieł jest jeno sensacja i jeno chęć „é p a t e r l e s b o u r g e o i s“, — ale to błędne, powierzchowne wrażenie, bo te wszystkie nieraz mocno drażniące jaskrawości w jego utworach, to właśnie tylko maska, która mu ułatwia przemycać w handel modnemi książkami prawdziwą poezję.

*

Rozdział: czasy uniwersyteckie w Berlinie i Bonn, a po ukończeniu praw krótkotrwała praktyka sądowa, w sąsiedztwie swego rodzinnego Düsseldorfu, w Neuss, to szare, szablonowe kartki w życiu Ewersa. Ot studja, które go nie rozgrzewały, „menzury“ i „bummel“ w „burszenszafcie“ Normania, a potem „gdera“ szef, któryby niejedną omyłkę prawniczą wybaczył młodemu „referendarzowi“, gdyby on tylko nieco lepiej grał w „taroka“ — i nie,

nic: pustynia duchowa, zrzadka jeno przerwana jakimś wierszykiem, napisanym przez przyszłego poetę na wzór Beaudelaire'a, Verlaine'a, lub Heinego.

Natomiast następny rozdział, to przełomowy w życiu Ewersa: wytrąca go pośrednio z kariery urzędniczej, poetę z niego czyni i tragedję w duszę jego wkłada na całe życie.

Rozdziałowi temu można dać tytuł: Lili.

Kto to Lili?

Mała blondynowa, różanna, sąsiadeczka, której przeznaczeniem było: rozpalić w mgłami nieświadomości zasnutem sercu poety pierwsze ognie miłości. Czy się pobrali, jak to się zwykle zdarza w potulnych powieściach i komedjach? — Nie. Zaledwie pół roku uśmiechała się do zapaleńca Heinza zdradliwa kotka, kokietka, a potem, potem — uśmiechała się do innego... i z tym innym skończyło się, jak się to kończy zazwyczaj w potulnych powieściach — ślubem.

I dobrze się stało: wprawdzie serce Heinza omal z żalu nie pękło, ale za to gorycz zawodu i za-

zdrości przeżarła łuski na oczach poety, że wreszcie ujrzał przeznaczenie swoje i cudne baśnie w swej duszy i piękno w szarych szczegółach życia.

Choć później w sercu Ewersa niejedna Lili królowała, a najśłodsza mu nawet — na imię jej Ilma — była dobrą żoną, tęskni on przecie w licznych wierszach za tą swoją pierwszą, niewierną Lili. A tak jest, bo ta mała sąsiadeczka, nietylko z krwi i ciała była, ale i z jego młodzieńczych marzeń, z jego własnych uczuć i z rozmyślań o ideale kobiecym. Ta jego pierwsza Lili, to w pełnej fantazji wyobraźni młodzieńca i jasna pani i mamusia i dziecko i kochanka w jednej do kwiatu podobnej osobie.

Wiersze o Lili pełne wdzięku są i pełne smutku, na który ratunku niema, bo — ideały są nie-doścignione. Oto na przykład jeden z nich, wyjęty z wydanego w roku 187 zbiorku: „Moganni Nameh“:

Lili gwizdże skoczną śpiewkę . . .

Niby małpka na linewce

ja, kochanek, towarzyszę

rytmicznemi ruchy śpiewce.

Skrzypki, bale i ślizgawkę
dałbym w zamian w jednej chwili,
gdybym znów raz mógł, jak małpka,
tańczyć tak, jak gwizdże Lili.

*

Ale ani namiętność do Lili, ani w ogóle do żadnej kobiety, nie ma w Ewersie mocy szalu, gruchocącego wszystkie przeszkody, wszystko w okół — nawet własne „ja“. A brak temu uczuciu niszczącej siły, bo czasami może się zdawać, że w jego organizmie nie mieszka dusza męska, ale — kobieca. On sam to przeczuwa, on sam to mówi. W jego potężnej powieści „Wampirze“ woła Karolina van Ness do Franka Brauna: „Jesteś bezpłodnym! nie jesteś tworzącym! nie, nie, nie ty! Ziemią jeno jesteś, kobietą i łonem! Wszystko w siebie wchłaniasz, i wszystko ciebie zapładnia, miłośnie, lub gwałtem z twoją, lub bez twojej woli!“ „Więc bądź ty mi słońcem!“, odpowiada Braun.

Tak, tak! Ewers jest ziemią, w której drzemia skarby i jest morzem, w którym precudne muszle

i korale i zaklętym lasem, pełnym zaczajonych dziwów i łąką pełną uśpionych kwiatów — a słońcem, rozbudzającym w jego duszy te wszystkie, czarodziejskie cuda jest życie, jest kobieta i duchy mu pokrewne: Barbey d' Aureville („Les Diaboliques“), Villiers de l' Isle Adam („Contes cruels“), Przybyszewski („Dzieci szatana“), Mayrink i wspomniani już Oskar Wilde i Poe.

Tak jest dziś, ale już jutro zmiana nastąpić może i nagle olbrzymi talent Ewersa będzie nie misternem echem „ducha czasu“, ale apostołem światoburczego „jutra“.

*

Ewers poświęcił całą swoją duszę pracy literackiej dopiero koło roku 1900, to jest w czasie, gdy jako „conferencier“ wygłaszał na „nadsceńce“, założonej przez słynnego Wohlzogen, swoje ucieszne, do spółki z Etzelem napisane bajki.

Plon jego dotychczasowych prac pokaźny: tom poezji p. t. „Moganni Nameh; kilka dotąd niegranych dramatów i moc powieści, nowel i bajek.

Światową sławę zdobyły mu powieści: „Al-rauna“, tłumaczona przez Przybyszewskiego i „Wampir“.

Dużo też czytane są jego diarjusze z podróży po Włoszech i Indji: pierwszy z nich ma tytuł „Właściciel oczyma“, drugi „Indje i ja“.

*

Nowele, które z następnych stronic tej książki, pewno uniosą dusze czytelników w swój tajemniczy krąg, należą do najnowszych prac Ewersa, wydanych pod zbiorowym tytułem: „Żydzi z Jeb.“ W każdej z tych drobnych opowieści dziwy są, których sugestji, omotującej zniecka, nie łatwo się oprzeć. I trudno rozstrzygnąć, która z tych niesamowitych historii bardziej uwagę przykuwa i nerwy bardziej podnieca, trudno rozstrzygnąć, bo każda z nich, każda w równej mierze, jest małym arcydziełem, podbijającym czytelnika dziwnie wyrazistą plastyką i głębią matematycznie ścisłej analizy nieszczęśliwych dusz. Niektóre, nieraz brutalne, jaskrawości tych opowieści, to przywdziana dla „gruboskórców“

maska, pod którą kryje się miłość ludzkiego ple-
nienia.

Ł u c j a n F r a n k E r d t r a c h t.



Treść:

Żydzi z Jeb	9
Dama tyfusowa	55
Moja matka, czarownica	115

Żydzi z Jeb

101



Osiemdziesięciopięcioletni Jedonja, syn Gemarji, siedział przy zachodzie słońca na dachu domu swego, najwyższego w twierdzy granicznej. Łatwo stąd objąć mógł okiem fortecę, miasto i całą Słoniową Wyspę.

Dokoła jego domu stały domy żydowskich żołnierzy, których był pułkownikiem. Dziewięćset sześćdziesiąt wojowników — pozatem starcy i kobiety i dzieci.

Niżej, po stronie Nilu, mieszkał oddział Dargmana, chárezmierczyka, który przybył z daleka, z Chiwu nad dolnym Oksusem. Komenderował wojownikami babilońskimi. Mur zaś po stronie miasta trzymał oddział fenicjan, pod rozkazami persy Hydaspesa.

Jedonja patrzył daleko poza mur. Tam stała pod lasem palm za miastem, schowana między pal-

mami i sykomorami, świątynia Chnuba, wielkiego Boga egipcjan o baraniej głowie. Widział, jak białe słupy się świeciły, widział między nimi kilku kapłanów, siedzących na schodach.

Nienawidził ich. Spojrzenie jego padło na puste miejsce przed domem jego. Tam stała przez stulecie, dumna i wysoka, świątynia Jahwy, Boga żydów. Nawet król perski Kambyzes, nie naruszył jej, gdy zdobył państwo egipcjan i zburzył wszystkie świątynie. Lecz teraz świątynia była zburzona, ani jeden kamień nie leżał już nad drugim.

Stało się to pięć lat temu. On, Jedonja, puścił się był wówczas wzdłuż Nilu, podejmując najazd na etjopijczyków — z całem wojskiem z Jeb. Równocześnie zaś Arsames, namiestnik Egiptu, jechał na dwór drugiego Darjusza, do Susy, miasta perskiego. Z tej okazji skorzystali kapłani Chnuba — zakupili byli generała Widarnaga, perskiego komenderującego Słoniowej Wyspy. Ten i syn jego, Nefaja, który komenderował bliskiem miastem targowem, Syene, wtargnęli z żołnierzami egipskimi do nieobronionej wówczas twierdzy Jeb, splądrowali starą świątynię żydów i zrównali ją z ziemią.

Coprawda, gdy satrapa powrócił z wizyty swej u króla, rychło zrobił porządek. Kazał ściąć generałów Widarnaga i Nefaję, własnych ziomków swych,

i nadto niektórych kapłanów Chnuba — mięso ich zaś rzucono psom, ku wielkiej radości armji żydowskiej.

Arsames, namiestnik perski, był starym przyjacielem Jedonji. Wiedział, że mógł liczyć na żołnierzy żydowskich, jak na własnych ludzi — zarówno tu w twierdzy Jeb, która chroniła południe, jak w Migdolu, w Dafne, w Memfis i w Nof. Oddawali dobre usługi przy każdej rewolcie egipcjan przez całe stulecie panowania perskiego — i w tem nowem powstaniu przysłużyliby się należycie.

Arsames, satrapa, przebywał na Słoniowej Wyspie. Miał dokładne wiadomości o narodowym ruchu egipcjan, który mógł wybuchnąć lada chwila, znał też tego, który rozdmuchnął ogień: Amyrtajos, człowiek z Sais. Trzymał się gdzieś w ukryciu tu na południu — i tu musiała też w pierw wybuchnąć burza, która miała złamać panowanie perskie. Arsames czynił przygotowania swe, jeździł z jednego garnizonu do drugiego, oglądał wojska.

Obecnie był w Jeb, mieszkał w domu generała Artafernesa. Mógł lada chwila przybyć tu na górę, na dach Jedonji. A przecież nie na potężnego namiestnika Jedonja czekał. Wzrok jego, nie osłabiony przez wiek, śledził bieg Nilu, szukając barki. Padł na miernik Nilu, na studnię, okazującą nawrót

słońca. Barka musiała nadpłynąć prądem Nilu, wzdłuż małych wysp skalnych.

Miał wiadomość z Syeny — jeden z wielbłądowych jeźdźców jego przyniósł mu ją przed godziną. Tam już przybył człowiek, na którego czekał — posłaniec z Jerozolimy. Nareszcie będzie miał pewność — nareszcie — wolną rękę — dla budowy świątyni. To czuł: jeśli tylko jeden kamień będzie stał dla Jahwy, Boga jego, nie potrzebował już więcej bać się egipcjan. I gdyby nawet grożące powstanie szalało po całym kraju, od Tebais aż do delty Nilu — jemu przecież nicby nie groziło.

Wyciągnął z olbrzymiego dzbana glinianego zwoje papyrusowe, które chciał pokazać namiestnikowi — cała korespondencja jego, dotycząca się budowy świątyni. Uchwycił na chybił trafił kopję listu swego do Bagoasa, satrapy perskiego w Jerozolimie.

— „Do naszego pana Bagohi, baszy Judei — niewolnicy twoi, Jedonja i towarzysze jego, kapłani w twierdzy Jeb. Niech pana naszego Bóg niebios pozdrowi bardzo o każdej porze, i niechaj go obdarza łaską króla Darjusza i synów jego domu tysiąc razy bardziej niż teraz. I niech ci da długie życie — bądź szczęśliwym i zdrowym o każdym czasie.

A teraz mówią niewolnicy twoi Jedonja i towarzysze jego:

W miesiącu Tammuz w roku 14. króla Dariusza, gdy Arsames się oddalił i udał się do króla, kapłani Boga Chnuba w forcie Jeb uknuli spisek z Widarnagiem, który był tu komendantem. Mianowicie: żeby znieść świątynię Boga Jahu w twierdzy Jeb. Na to ów Wirdanag, psi syn, posłał rozkaz do syna swego Nefaji, który był pułkownikiem w fortecie Syene, w tych oto słowach: niech zburzą świątynię Boga Jahu w twierdzy Jeb bronią swą; wtargnęli do owej świątyni, zburzyli ją do szczytu; kamienne słupy, które tam były, potłukli. Potłukli też pięć olbrzymich bram, wybudowanych z kamieni; drzwi wyjęli, jakoteż spiżowe zawiasy. Dach z drzewa cedrowego, wszystkie naczynia, i wszystko, co tam jeszcze było, spalili ogniem; złote i srebrne czary i wszystkie rzeczy, które były w świątyni, zrabowali. Lecz jeszcze za czasów faraonów egipskich przodkowie nasi zbudowali świątynię tę w twierdzy Jeb. Gdy król Kambyzes szedł na Egipt, znalazł świątynię tę; zburzył wszystkie świątynie bogów egipskich, lecz tej świątyni nie naruszył. Od czasu, gdy się to stało, nosimy wraz z żonami naszymi i dziećmi szaty żałobne, pościmy i modlimy się do Jahu, Pana niebios. Mamy wiadomości o owym

Widrangu: psy zdarły okowy z nóg jego, wszystkie skarby, które zebrał, przepadły. Wszyscy ludzie zaś, którzy owej świątyni źle życzyli, również są zabici — mieliśmy uciechę, patrząc na nich.

Już dawniej, zaraz gdy to nieszczęście nam się zdarzyło, wysłaliśmy list do pana naszego, Bagohi, jakoteż do Jochanana, arcykapłana i do Rady jego, a jeden do Ostana, brata Hanani i do znakomitych żydów.

Ci atoli nie przysłali nam listu.

Teraz mówią niewolnicy twoi, Jedonja i towarzysze jego i wszyscy żydzi, mieszkańce Jebu:

Jeżeli się podoba naszemu panu, to niechaj myśli o owej świątyni, by nam pozwolili odbudować ją. Przyślij nam list o świątyni Boga Jahu, by zbudować ją w twierdzy Jeb, tak jak była dawniej. Ofiary, kadzidło, całopalenie przynosić będziemy na ołtarz Boga Jahu w twojem imieniu. I będziemy się modlić za ciebie w każdym czasie, tak, jakoteż kobiety i dzieci i wszyscy żydzi, którzy tu są, jeżeli się postarasz o to, by ową świątynię odbudowano. Zaskarbisz sobie zasługę wobec Jahu — bardziej niż człowiek, który mu przynosi całopalenia i ofiary wartości tysiąca talentów.

A co do złota — to posłańcy nasi pomówią z tobą.

Donieśliśmy o całej sprawie także w liście do synów namiestnika Samarji, Sinubbalita, Delaji i Schelemji.

20. marcheswanu roku 17. króla Darjusza.“

Jedonja bar Gemarja czytał dość uważnie papyrus, który sam napisał. Potem wyszukał odpowiedź, którą przywiózł syn jego, Machseja, wysłany przezeń do Jerozolimy — protokół, który podał pod przysięgą po powrocie swym:

„Spisanie tego, co mu powiedział Bagohi i Delaja.

Dosłownie: masz mówić w Egipcie o świętyni Boga w niebie, która była zbudowana w twierdzy Jeb już przed czasem Kambyzesa i którą ów psi syn Widarnag zburzył w roku 14. króla Darjusza. Ma teraz być odbudowaną na dawnym swem miejscu. Ofiary i kadzidło mają być składane na oltarzu, zupełnie tak samo jak dawniej.“

Wyjął podanie, które sam wysłał był do Arsamea i jego odpowiedź, która na rozkaz króla dawała ostateczne pozwolenie na odbudowanie świętyni Jahwe — odpowiedź ta nadeszła już przed ośmiu miesiącami. Wówczas zwołał był Radę pułkowników i kapłanów.

Syna swego Machseja, Jozadaka, syna Natana, Szmachję, syna Chaggaja, Hoszeę, syna Jatoma

i drugiego Hoszeę, który był synem Natuna. Wszyscy głosowali za tem, by bezzwłocznie rozpocząć odbudowę. Pieniądze były już zebrane, każdy żyd dał na to dziesięć szekli. Pozatem Jedonja miał w ręku inny jeszcze skarb nietknięty, a zebrany przed kilku laty: dwanaście karszów siedem szekli dla Jahwy, a dla bogini jego Aszimy siedem karszów, dla Hanaty dwanaście karszów. On jeden, Jedonja bar Gemorja, głosował przeciw temu i przeparał wolę swą. Dom przodków jego stał w Jerozolimie; z pomocnemi oddziałami wojskowemi, które król Salomon nadesłał był Faraonowi w zamian za konie arabskie, przodek jego osiadł niegdyś na Wyspie Słoniowej. I aczkolwiek już stulecia od owego czasu minęły, aczkolwiek wskutek zaburzeń wojennych połączenie kolonji wojskowej z krajem rodzinnym często bardzo było luźnem — rodzina Jedonji nigdy nie zapomniała o Syonie i o szacunku dla arcykapłana świątyni w Jerozolimie. Tak tedy sankcja dla odbudowy świątyni, którą już miano, nie wystarczała dla starego Jedonji — ani basza Judei, ani namiestnik Egiptu, ani nawet potężny król perski, który panował nad całym światem, nie mógł tu wypowiedzieć ostatniego słowa. To było rzeczą Jerozolimy. Atoli żydzi Jebu napierali. Czterokrotnie już Jedonja wysyłał pisma do Jerozolimy:

do Jochanana, arcykapłana, do Ostanesa, przewodniczącego rady, do brata jego, Hananiego, potomka Dawida i do niejednego z znakomitych żydów — żaden nie odpowiedział. Bagoas, namiestnik perski Judei, odpowiedział był bezzwłocznie, podobnie Arsames w Memfis; a nawet sam król perski oznajmił był zgodę swą. A żydzi z Samarji, stary basza Sin-Uballit i synowie jego Szelemja i Delaja odrazu przyrzekli byli pomoc swą i dotrzyмали przyrzeczenia swego, tak samo jak Assaf, syn Manassego, który był arcykapłanem na Garizim w Sichen.

Zapewne, wszystko to bardzo dużo kosztowało. Do samego Memfis trzeba było wysłać tysiąc korców jęczmienia dla pisarza Arsamesa; posłano złote i srebrne naczynia i niejeden szekiel do Samarji i Suzy. Ale czyż do Jerozolimy nie posyłano również podarunków, liczniejszych jeszcze i cenniejszych?

Żydzi w Jeb napierali. Od dnia zburzenia świątyni, od miesiąca Tammuz 14. roku króla Dariusza panowała żałoba. Noszono worki jako szaty żałobne, poszczono i nie pito wina. Nie namaszczano się olejem i nie dotykano się kobiet. Wszystko to miało się skończyć z chwilą, w którejby położono pierwszy kamień dla nowej świątyni.

Pozatem była inna jeszcze rzecz. Gdy wówczas wojownicy żydowscy wyruszyli byli do Etjopji, jeden

z pułkowników, Mahuzija, chory, pozostać musiał w Jeb. Był on jedynym żydem, który usiłował bronić świątyni Jahwy przeciw kapłanom Chnuba i zbrojnym ich bandom, i jedynym też, którego zabito. Żona jego, która bardzo go kochała, straciła zmysły, gdy go zamordowano w jej oczach — i od tego czasu żyła w obłąkaniu. Wołała ciągle: żaden żyd nie jest bezpiecznym w Jeb, póki się nie odbuduje świątyni Jahwy. Jeśli się to nie stanie, to będzie to końcem wszystkich żydów w Egipcie, oraz końcem panowania perskiego, które się nimi opiekuje.

Wojsko żydowskie wierzyło w słowa tej prorokini. A on, Jedonja bar Gamara, niemniej w nie wierzył.

A jednak wahał się był z miesiąca na miesiąc. Jeszcze w poranek owego dnia obaj Hoszeje byli u niego, błagali go, by rozpocząć odbudowę. Wiedziano dobrze, co się w kraju działo. Wiedziano, że każdej chwili wybuchnąć mogło powstanie, że Amyrtaios i zwolennicy jego objeżdżali kraj cały, podżegając lud przeciw najeźdźcom. I wiedziano doskonale, jak mało można było polegać na innych oddziałach żołdaczych.

Jedonja uspokoił ich. Dziś jeszcze, mówił, przybędzie posłaniec z Jerozolimy, przyniesie nareszcie zezwolenie arcykapłana — i w nocy jeszcze, w tej

samej nocy, położy się kamień węgielny do nowej świątyni.

Jedonja, syn Gemarji osiemdziesięcioletni, wyglądał daleko poza mury Jebu. Ponad palmy i sykomory Wyspy Słoniowej, wzdłuż Nilu aż do kataraktów. Wciągnano tam łódź, puszczone ją z powrotem na wodę za kataraktami, rozwinięto czerwony żagiel. A wiatr wiał z północy.

Kroki na schodach. Czterech łuczników a z nimi pułkownik żydowski Szmahja. Donieśli: że przybywa namiestnik, Arsames. Przyjdzie tu na górę; Jedonja niechaj nie wychodzi na spotkanie jego, lecz niechaj go tu oczekuje.

Jedonja uśmiechnął się. To było podobne do tego persa! Był bliskim przyjacielem Darjusza, króla świata, sam panował nad wielkiem królestwem, a jednak obchodził się z nim jak z równym. Z nim, Jedonją, stojącym wszak tylko na czele małego oddziału żołnierzy — Arsames miał setki takich oddziałów w Egipcie a król perski w wielkiem państwie swem tysiące! Myślał o posłańcu z Jerozolimy, który nadpływał Nilem. Przez pięć lat pisał do rodaków swych w Judei — prosząc, błagając coraz usilniej. Syon nie zaszczycił go nawet odpowiedzią. Odtąd uśmiech jego stał się gorzkim.

Namiestnik Arsames przybył, wraz z nim inni naczelnicy fortecy Jeb: Dargman, komendant babilończyków, Hydaspes, wódz fenicjan, generałowie Nabukudurri i Artafernes, stojący na czele oddziałów mieszanych — złożonych z żydów, syryjczyków, babilończyków, a i z libijczyków i egipcjan. Jedonja skinął na jednego z żołnierzy, kazał przynieść wina w wielkich dzbanach, ciemnego, egipskiego wina i złocistego z Sidon. Pili, lecz Jedonja nie tknął szklanki.

„Jeszcze zawsze nie, stary?“, zapytał namiestnik.

„Może jutro — może tej nocy jeszcze“, odparł Jedonja. „Przybywa posłaniec, którego oczekuję z Jerozolimy.“

„Połóż nareszcie kamień do twej świątyni!“, zawołał babilończyk Nabukudurri. „Ta wiara wasza udzieliła się innym żołnierzom — wierzą jak wy: skoro tylko stać będzie jakaś Massebea lub Aszera, jakikolwiek słup kamienny lub pał przy świątyni waszej, wówczas czuć się będą bezpiecznymi przed egipcjanami.“

Mówiono o grożącym powstaniu; satrapa nie ukrywał obaw swych. Tu na południu, w Tebais, nasamprzód wybuchnie — to trzeba będzie odeprzeć

pierwsze natarcie. Arsames zwiedził był wszystkie załogi, przychodząc z północy, i po części mało był zadowolony — nie bardzo na nich można było polegać. Żołnierze murzyńscy, nubijski szczep Bedja, przyłączyliby się do zwycięscy; rozprószyliby się zaraz po pierwszym małym powodzeniu przeciwnika. Niepewnymi byli także wszyscy żołnierze greccy, karyjczycy, jończycy, a przedewszystkiem Szirdana. Co do libijskiej kasty wojskowej, która od stuleci kraj zamieszkiwała, to uchodziłoby to za rzecz pewną, że połączyłaby się z egipcjanami, by na wypadek powodzenia pokusić się znowu raz o zdobycie całej dla siebie władzy. Całkowicie polegać można było tylko na żołnierzach perskich — lecz oprócz kilkuset ludzi w Syene byli tylko poszczególni oficerowie w Tebais. A właśnie w Syenie sytuacja była krytyczna — tam fanatyczny Pia od miesięcy działał wśród wojska egipskiego. W samym Jeb rzecz lepiej wyglądała: żołnierzy żydowscy byli zupełnie pewni, a i fenicjanie, syryjczycy i babilończycy zasługiwali na zaufanie. Pozatem było stu procarzy, których iranczyk Dargman przyprowadził z dalekiego kraju swego, oazy Charezm. W najbliższych dniach nadejść miały jeszcze posiłki, oddziały Iddinabu, Warizat i Artabanos, które przywieść mieli Nilem pewnych ludzi, persów i żydów.

Satrapa dawał wszystkie dyspozycje; powierzał wykonanie ich komendantowi Artafernesowi, który był naczelnikiem fortecy. Omawiano każdą bramę, każdą część murów miejskich; rozważano wszystkie możliwości. Jedonji powierzono Lwią Bramę; syn jego, pułkownik Machseja, z dwustu ludźmi udać się miał do kataraktów. Hydaspes z fenicjańskimi swymi marynarzami ochronić miał Nil, jeźdźcy Nabukudurriego mieli czuwać nad drogą do Syeny. Dargman miał —

Księżyc wszedł. Przybył adjutant namiestnika z wiadomością, że łódź jego gotowa. Na niej tej nocy jeszcze popłynąć miał do kataraktów, poniżej których leżał statek jego.

Jeszcze kielich wina fydońskiego wychylił satrapa. „Buduj świątynię swę, Jedonjo!“, upominał przy pożegnaniu. „Skoro się znowu zobaczymy, obyś był w szatach świątecznych i pił wraz z nami!“

Pożegnali się, Arsames nie pozwolił, by go stary odprowadził do Nilu. „Szczędź sił swych — i oby Bóg twój Jahwe chciał, byś nie potrzebował ich w tych dniach.“

Pułkownik Machseja, sam już pięćdziesięcioletni, odprowadził pana. Jedonja słuchał odgłosu ich kroków. Potem ujrzał ich znowu w wąskich ulicach, tu i ówdzie, otoczonych żołnierzami, niosącymi po-

chodnie. Widział ich poza murami miasta, jak schodzili ku rzece, widział zwłaszcza Arsamesa, który przewyższał innych niemal o całą głowę.

Jedonja widział, jak doszli do brzegu, jak satrapa z ludźmi swymi wsiadł do łodzi. Lecz z tyłu widział drugą łódź, płynącą z trudnością pod górę przeciw prądowi.

Syn jego wrócił; śmiejąc się, potrząsał woreczkiem. „Oto co mi namiestnik dał dla ciebie, ojczy!“, zawołał. „Dziesięć karszów dla budowy świątyni! I drugich dziesięć karszów dla twego skarbu: cztery dla Hanaty, cztery dla Aszimy, cztery dla Jahwy!“

Stary nie odpowiedział, namyślał się głęboko. Oto ten satrapa był wielbicielem Mazdy, jak wszyscy persowie: modlił się do ognia. Jakież było imię proroka jego? Czy nie Zoroaster? — A jednak dał mu pieniądze na świątynię jego! Obdarzył po królewsku jego bóstwa!

A żydzi, bracia jego, nie zaszczytili go odpowiedzią, przez długich pięć lat! Dziś dopiero przybywał posłaniec ich —

Potem silnie potrząsł głową. Nie, nie chciał okazać żalu człowiekowi, którego oczekiwał. Cóż on, posłaniec temu był winien? I wszak miał nareszcie przynieść dobrą wiadomość, która tak była po-

trzebną. Jedonja postanowił nie pytać go wcale o to, co było powodem tego przeciągania i wysuwania. Klótnia jakaś, intryga, spór stronnictw — ach, wszak znał to od lat wielu z własnej gminy. Ostatecznie — w Jerozolimie w wielkich rozmiarach zapewne taksamo wszystko się odbywało — wszak i tam żyli tylko ludzie, żydzi, tak jak tu w Jeb i może taksamo klócili się i spierali — o nic. Nie, nie chciał nic wiedzieć o tem wszystkim! Z wdzięcznem sercem przyjąć chciał, co mu przysyłała matka Jerozolima i nie chciał się pytać, dlaczego tak późno. Posłańca jej zaś przyjąć chciał jak księcia, obdarzyć go jak samego króla, gdyby tu przybył: wszak był tó człowiek z Jerozolimy.

„Weź ludzi z pochodniami!“, zawołał do syna swego i wskazał ręką na noc księżycową. „Łódź Uriji niebawem przybije do lądu — przyjm go dobrze, człowieka, którego Pan nam przysyła. Zaprowadź go na górę, daj mu pokój córki swej Mibtachji, to najlepszy w domu. Posil go obficie jadłem i napojem — daj mu wina sydońskiego, które kupilem dla namiestnika. Jeśli jest zbyt zmęczonym, połóż go do łóżka — w takim razie jutro z nim się rozmówię.“

I znowu Jedonja spoglądał na rzekę. Widział żołnierzy, niosących pochodnie, na ulicach i za murami, widział ich u brzegu. Widział łódź, która

z trudnością dobijała, słyszał okrzyki ludzi okrętowych.

Noc stała się chłodniejszą; stary Jedonja uczuł mróz, podniósł płaszcz swój i owinał się nim. Potem słyszał głosy na dole, na ulicy, poznał głos syna swego.

„Tędy, tędy panie, tu! Teraz jesteś u celu długiej swej podróży!“

Ah, oto przybył — posłaniec z Jerozolimy! Jedonja bar Gemarja modlił się, dziękował Jahwie, Bogowi Niebios. Ludzie z pochodniami tam na dole nie odchodzili, zostali przed domem. I słyszał, jak dokoła drzwi się otwierały, jak ludzie spieszyli na ulicę, mężczyźni i kobiety. Przybył posłaniec z Jerozolimy — teraz koniec żałoby pięcioletniej! Jutro — może tej nocy jeszcze — położy się pierwszy kamień!

Jedonja czekał.

Teraz syn jego poprowadził obcego na górę — teraz gotowano dlań kąpiel. Ta kąpiel — jak długo potrwa? Teraz postawiono przed nim jadło i napoje — ah, posłaniec zdziwi się, że tu, na samych kresach państwa, można dostać wina fenićjańskiego, zupełnie jak w Jerozolimie, wina z Sidonu, z wielkiego domu Habdali ben Eljaton.

Usłyszał kroki na schodach wiodących na dach. Ciężkie kroki syna swego — znał je dobrze. A potem inne, lżejsze —



Nadchodził, człowiek z Jerozolimy!

Jedonja podniósł się, poszedł na spotkanie jego. Rozwarł ramiona swe, przycisnął go do siebie, pocałował go. Czy nie całował tym sposobem samego Syonu?

*

Syn jego powiedział mu imię: Jehiel, syn Obadji, z dziatwy Sefatji. Mąż z Betanji. Człowiek brodaty, rosły, młody jeszcze i smukły. Arcykapłan Jochanan go przysyłał i Wysoka Rada, której najmłodszym był członkiem.

Opowiadał o podróży swej. Bagoas i Arsames, namiestnicy Judei i Egiptu, wystawili mu papiery. I wszędzie urzędnicy perscy pomagali mu, oddawali mu do dyspozycji konie i wielbłądy, a także i okręt na Nilu. Dawali mu nocleg, ugaszczali go —

Pułkownik Machseja uśmiechnął się z zadowoleniem. „O tak, jesteśmy czemś — mój ojciec Jedonja i wojsko żydowskie w Jeb!“

Jedonja prosił obcego, by mu opowiadał, jak wygląda nowa świątynia, wybudowana przez Ezrę i Nehemjasza, kiedy żydzi wrócili z niewoli babilońskiej. Wiedział to wszystko dokładnie, syn jego Machseja musiał mu to opowiadać niezliczone razy a i pułkownik Hoszea, którego drugi raz wysłał był

do Judei. Lecz teraz pragnął usłyszeć to raz jeszcze z ust człowieka, który sam żył w Jerozolimie.

Jehiel bar Obadja opowiadał — opisywał dokładnie, jak świątynia wyglądała na zewnątrz a jak we wnętrzu. Tymczasem Machseja kazał przynieść świeży dzban, napełnił kubek złotem winem z Sidonu. Poseł wziął go. „Dlaczego w y nie pijecie?“, zapytał.

Jedonja odparł: „Od miesiąca Tammuz 14. roku króla Darjusza, od nieszczęsnego dnia, w którym egipcjanie świątynię naszą —“

„Wiem!“, przerwał mu Jehiel. „Nie pijecie i pościecie! Nie namaszczać się i nie dotykacie waszych kobiet! Lecz teraz cieszcie się, stary: arcykapłan i Wysoka Rada jerozolimska każą wam donieść, że żałoba wasza powinna się skończyć! Idźcie znowu do kobiet waszych, namaśćcie się olejem, uczujcie i pijcie wedle woli! Napełnij czary, Machseja bar Jedonja, i pijcie obaj ze mną!“

Głos starego drżał: „Dziękuję ci“, szepnął, „dziękuję. — O, wiedziałem, że przyniesiesz zezwolenie na budowę świątyni“.

W tej chwili okrzyk przerwał ciszę nocną. Był to przeraźliwy głos kobiecy, odzywający się z pobliskiego dachu. Kobieta wołała:

„Oto co mówi Pan, Bóg Izraela: Odbudujcie świątynię mą, którą zburzyli egipcjanie. A skoro nie

usłuchacie i nie uczynicie tak, jak rozkazuję, to ręka ma ciężko na was spadnie i oddam was w ręce egipcjan.“

„Wielbłądy wasze będą zrabowane, a całe bydło wasze będzie rozprószone; ta wyspa stanie się legowiskiem smoków i wieczną pustynią.“

„Ostrzcie tylko strzały wasze i gotujcie tarcze! Pan obudził odwagę egipcjan, a myśli jego zwracają się przeciwko twierdzy Jeb, by ją zgubić.“

„Utwierdzajcie tylko chorągwie wasze na murach Jebu, ustawiajcie strażę! Nie zważacie na rozkaz jego: tedy Pan napełni wody Nilu waszemi ciałami, jak gdyby były chrząszczami.“

„Rozbije On konie wasze i jeźdźców a okręty wasze i barki roztrzaska! Rozgruchota mężczyzn waszych i kobiety — dlatego, że nie słuchacie.“

„Byliśmy straceni, gdyśmy słyszeć musieli hańbę i gdy wstyd pokrył oblicze nasze — owego dnia, gdy obcy wtargnęli do świątynicy domu Pańskiego. Lecz teraz chcecie, by hańba wiecznie trwała — tedy Pan was ukara.“

„Patrzcie, oto nadszedł czas, mówi Pan, gdy w całym kraju jęczeć będą ranni śmiertelnie. Słysząc wołanie w Jeb i wielkie biadanie w kraju egipcjan. Bo Pan burzy twierdzę Jeb i niszczy ją z takim

hałasem i wrzawą, że fale wielkiego strumienia szumią i szaleją.“

„Łuki wasze będą złamane, bohaterów waszych wezmą do niewoli. Mury wasze będą rozbite, a wysokie bramy ich ogniem spalone. Spłoną wasze składy zbożowe, a bydło wasze będzie uduszone. Miecz przyjdzie na mężczyzn i kobiety Jebu i na dzieci ich. Miecz przyjdzie na siłaczy ich, miecz na skarby wasze, tak, że będą zniszczone. Miecz przyjdzie na konie i wozy i na cały lud!“

„Wrzawa wojenna idzie przez kraj i rozpacz wielka. Bo twierdza Jeb będzie zgruchotaną dlatego, że się podniosła przeciw Panu. Trwoga, mogiła i sznur przyjdzie na ciebie, mężu z Jeb — tak mówi Pan.“

Jasny głos kobiecy wołał poprzez ciszę nocną. Gdy zamilkł, usłyszano hałas wielu zburzonych głosów, które odzywały się wszędzie po ulicach. Ponuro i w zamieszaniu, tak jak szumienie skaczących fal Nilu. A czasem, jak krzyki czapli, skrzeczące wołania kobiet.

„Co to jest?“, zapytał Jehiel.

„Żona Mahuzji“, odpowiedział Jedonja, „człowieka, którego zabito, gdy kapłani Chnuba zburzyli świątynię naszą. Szalona, opętana — lecz lud myśli, że to prorokini.“ Zwrócił się do syna: „Spiesz się,

Machseja! Poślij do niej Mibtachję, córkę swę — oto jedyna, której głos ją uspakaja.“

Pułkownik Machseja zwrócił się ku schodom, zeskoczył parę stopni. Lecz stary poszedł za nim. „Czekaj!“, zawołał za nim. „Ogłoś całemu ludowi, że przybył posłaniec z Jerozolimy! Przytocz imię jego i ród. Powiedz im, że przynosi radosną wiadomość z świętego miasta, ogłoś im, że w tej nocy kończy się wszelka żałoba. Zwołaj kapłanów i wszystkich pułkowników — niechaj będzie chwała Jahwie, panu wojsk niebieskich!“

Zwrócił się znowu do obcego. „Czekaj tylko, Jehielu bar Obadja, będziesz świadkiem radości i uniesienia ludu. Będziesz mógł opowiedzieć Wysokiej Radzie w Jerozolimie, jakie szczęście przyniosłeś temu miastu! Okażą ci już, jak są wdzięcznymi.“

Posłaniec z Judei był snać zakłopotanym. „Nie wiem, Jedonjo“, zaczął, „nie wiem —“

Lecz stary przerwał mu, śmiejąc się dobrodusznie. „Daj pokój, Jehielu“, rzekł, „rozumiem cię dobrze! Tyś tylko posłańcem, myślisz, ty nam tylko przynosisz radosną wiadomość, na którą daremnie czekaliśmy pięć lat. Zapewne, zapewne — pojmuje uczucia twe. Lecz musisz już przyjąć to wszystko. Tak, jak ja, tak i oni upatrują w tobie wszyscy męża

z Jerozolimy, ty im zastępujesz Syon. Przyjm tylko zaszczyty i podarunki, które ci przyniosą: w tobie czczą kraj ojców swych.

Jehiel otworzył usta, lecz wrzawa na ulicach przygłuszyła słowa jego. Wybuchła tuż pod domem Jedonji, poszła dalej ulicą, wzrosła na rogu, popuściła nieco, znowu urosła, rozbrzmiała na trzech, czterech miejscach odrazu, coraz głośniejsza i dziksza.

„Czy słyszysz, Jehielu?“, pytał Jedonja. „Teraz wiedzą, żeś przybył — wiedzą, co nam przynosisz!“ Zbliżył się do brzegu dachu, nachylił się. „Czy to ty, Jozadaku bar Natan? — Powiedz ludowi, by przyszedł na miejsce, gdzie stała świątynia nasza. Powiedz im, by wszystko przygotowali i potem cicho tam czekali: przybędę niebawem z mężem, którego przysłała Jerozolima. Wszyscy go zobaczą jeszcze nocy dzisiejszej, owego męża, który przyniósł nam zbawienie!“

Odstąpił od brzegu, zwrócił się znowu do obcego.

„Zobaczysz, Jehielu, jak się lud cieszyć będzie. I nietylko my żydzi i babilończycy, fenicjanie i syryjczycy — wszyscy wojownicy twierdzy i żony ich i dzieci. Wierzą jak my, że z świątynią Jahwy cała twierdza jest bezpieczną. Żaden egipcjan nie jest dla niej groźnym, skoro tylko jedna stoi Masseba.“

Twarz Jehiela nabrała ponurego wyrazu. „Masseba —“ zaczął.

Lecz stary przerwał mu. „Wiem już, wiem. Ani Masseby, ani Aszery! Rozbili je w świątyni jerozolimskiej już przed dwustu laty, wszystkie słupy kamienne i święte pale. Tak samo jak palili konie i powozy, które królowie Judei ustawili przed bramą świątyni dla boga słońca. Tak jak zburzyli ołtarzy Ahaza na dachu i Manassego w przedsionkach. Jesteśmy bardzo oddaleni od Jerozolimy, my żydzi z Jeb — lecz nie myśl, Jehielu, że wskutek tego jesteśmy mniej przywiązani do Jahwy. Pragnęlibyśmy tak jak wy, by kult jego był czystym — aczkolwiek wymaga to nieco czasu, by odzwyczaić pobożny lud od prastarych wierzeń. Jehielu, w nowej naszej świątyni nie będzie już też Nechusztana, świętego spizowego męża. Wiemy, jak wy, że skrzydlate wężę są serafimami, stojącymi jako straż przed tronem Jahwy.“

Obcy potrząsał głową. „Jedonja bar Gemarja“, rzekł poważnie, „posłuchaj mnie. W Jerozolimie stoi wielka świątynia Jahwe i ona jedynie —“

Lecz znowu przerwał mu Jedonja. „Powiesz nam to wszystko, bracie, skoro będziesz stał na dole przed ludem! Wszyscy chcieliby cię słyszeć, począwszy od naczelnika wojsk, aż do ostatniego nie-

wolnika. Nawet satrapa Arsames pytał się o ciebie. Był tu dziś wieczór, stał na tem samym miejscu, gdzie ty obecnie stoisz! Czy wiesz, Jehielu, co mi dał na pożegnanie? Dziesięć karszów dla budowy naszej świątyni! I jeszcze dwanaście karszów: cztery karsze dla Jahwy, i po cztery dla Hanaty i Aszimy, bogiń naszych.“

Wesół jak dziecko starzec podniósł woreczek i potrząsł nim w powietrzu.

Jehiel bar Obadja cofnął się o krok, skrzyżował ręce. Brwi jego ściągnęły się, usta się zacisnęły. Potem rzekł po hebrajsku: „Nie ma bogiń, ani Aszimy ani Hanaty.“

Stary nadstawił ucha. „Aszima i Hanat“, zaczął —

Lecz mąż z Judei nie dopuścił go do słowa, przerwał mu i mówił dalej. Jedonja słuchał cierpliwie, czasami tylko potrząsał głową. Pierwsze zdanie zrozumiał, odgadł je po części — z tego, co posłaniec teraz mówił, nie pojmował ani jednego słowa. Wreszcie, gdy tamten zrobił małą przerwę, zauważył: „Dlaczego mówisz do mnie po hebrajsku? Nie rozumiem tego.“

„Jestto język ojców twych“, odparł Jehiel po aramejsku.

Jedonja ruszył ramionami. „Nie mówimy już tym językiem — już dziadkowie nasi zapomnieli go. Język aramejski jest językiem państwa, nawet do króla persów i do namiestników jego pisujemy w tym języku! I jakżebyśmy mieli porozumiewać się tu z babilończykami i fenicjanami, z persami, z syryjczykami i egipcjanami, gdybyśmy nie mieli języka aramejskiego?“

„Jesteśmy hebrajczykami“, rzekł Jehiel. „Mówimy po hebrajsku w Judei“.

Jedonja ruszał starą głową. „Tak, tak, wiem“, odparł, „syn mój opowiadał mi o tem, ale każdy tam rozumie także po aramejsku, tak samo jak my. I cokolwiek tam udajecie: własne wasze dzieci mówią już wyłącznie tym językiem i nie chcą już nic wiedzieć o hebrajszczyźnie! Czemu się opieracie? Aramejskie, to język ludów! Jeśli już Masseby, Aszery i Nechusztany wyrzucacie jak stare graty — czemu się tak trzymacie języka, który już nie żyje?“

„Nie przybyłem tu, Jedonjo“, odparł Jehiel, „by spierać się z tobą o języki. Chcemy mówić po hebrajsku, bo jest to mowa Jahwy — jego jedynie uznajemy, nie zaś bożków, jak Hanata i Aszima!“

Jedonja spojrział nań chytrze, z pod dołu. Potem zawołał: „Powiedz no, Jehielu, gdzie to się urodziłeś — wszak mówiłeś, że —?“

„W Betanji“, odrzekł Jehiel.

„Hm, hm!“, mruknął stary. „I mówisz po hebrajsku i wiesz dobrze, spodziewam się, co to znaczy! Bet — to świątynia! Bethanat — to świątynia Hanaty! Od niej pochodzi nazwa miasta twego — od Hanaty, małżonki Jahwy!“

„Nie jestem odpowiedzialny“, odparł Jehiel, „za to, co się działo w dawnych czasach. Lecz powtarzam ci, Jedonjo, my żydzi dzisiejsi nie znamy już żadnych bogów.“

„Więc wypierasz się swojej wiary?“, zapytał stary. Lecz Jehiel nie odpowiedział mu.

„Chcę ci coś opowiedzieć“, mówił dalej Jedonja. „Działo się to, gdy dziad mój był jeszcze małym chłopięciem, tu, w tem mieście. Był on przytem, lecz byłby to może zapomniał, gdyby nie byli tego zawsze na nowo opowiadali starzy, gdy był młodym, a potem młodzi, gdy był starym. I ja sam, Jehielu! Wówczas uciekał przed królem babilończyków prorok Jeremjasz. I wraz z gromadą innych żydów uciekających przybył do Egiptu, a idąc wzdłuż Nilu aż do naszego miasta.“

„Pokrzepiliśmy jego i wszystkich, którzy z nim byli, daliśmy im nocleg i odzież i jadło i napoje. Prorok Jeremjasz atoli mało okazał wdzięczności. Stał przed naszą świątynią Jahwego i wołał głośno,

tak, że cały lud się zbiegł. A potem lżył żydów miasta naszego i groził im wszystkimi karami niebios, dlatego, że przynosili ofiary i innym bogom i boginiom prócz Jahwy.“

„Wówczas odpowiedzieli Jeremjaszowi wszyscy mężczyźni: „Nie chcemy cię słuchać! Jeno będziemy czynili, cośmy ślubowali, będziemy przynosili królowej niebios kadzidła i ofiary, tak, jakieśmy to czynili, my i ojcowie nasi, królowie nasi i urzędnicy w miastach Judei i na ulicach Jerozolimy — wówczas mogliśmy się najeść do syta, powodziło się nam i nie mieliśmy nieszczęścia! Lecz od kiedy żydzi przestali składać kadzidła i ofiary królowej niebios, od tego czasu cierpią niedostatek i giną od ognia i miecza.“

„A kobiety wołały: „Kadzimy królowej niebios i pieczemy dla niej ciasta i przynosimy jej w ofierze napoje — za wiedzą i wolą mężów naszych!“

„Czy wiesz, Jehielu, co prorok uczynił? Przeklął mężczyzn naszych i kobiety. Oto co powiedział: „Patrzcie, przysięgam na wielkie imię me, mówi Pan, będę czuwał nad żydami w Egipcie ku ich nieszczęściu. Kto z Judei jest w Egipcie, zginie od miecza i głodu! Faraona zaś, tak mówi Pan, króla w Egipcie, oddam w ręce wroga jego, króla w Babilonie, Nebukadnezara!“

„Tak mówił prorok Jeremjasz i tak przepowiadał — my żydzi w Jeb zaś i w Migdol i w Nof i w wszystkich miastach Egiptu składaliśmy nadal ofiary królowej niebios. A co się stało? Czy Farao wpadł w ręce Nebukadnezara? Czy zginęliśmy z głodu i od miecza babilończyków? Stała się rzecz wprost przeciwna! Król perski rozbił w proch Babilon! Król perski zlitował się nad żydami, uwolnił ludzi judejskich z niewoli babilońskiej, kazał im wrócić do Jerozolimy i pozwolił im odbudować świątynię swę. A król perski wybrał się przeciwko Egipтови i podbił państwo! Wy w Judei, Jehielu, staliście się niewolnikami Babilonu, my zaś nad Nilem zostaliśmy wolnymi. A persowie są przyjaciółmi waszymi i naszymi i bronią nas.“

„Jeremjasz był fałszywym prorokiem! I dlatego właśnie, żeśmy go nie słuchali, tak jak wy w Judei, dlatego, żeśmy nie porzucili wiary naszych ojców — dlatego chronił nas Jahwe, król niebios.“

Jehiel, syn Obadji, tarł ręce swe. Cóż mógł odpowiedzieć temu staremu, który żył w czasach minionych? Przeklinał Wysoką Radę, która go tu posłała.

W końcu zapytał: „I cóż wy jeszcze wielbicie?“

„Moim Bogiem jest Jahwe“, odparł stary, „i wszyscy wierzą wraz ze mną, że On to jest wielkim, potężnym, wiecznym Bogiem żydów. Lecz lud

przynosi ofiary zastępom niebieskim na dachach, a w domu Terafimom, tak jak Rahela, żona Jakóba i król Dawid. Również i boga słońca czczą mężczyźni nasi, a kobiety nasze obchodzą święto żałobne, gdy umiera Tammuz, bóg wiosny!“

„Zgroza, zgroza!“, zawołał Jehiel. „Kapłani wasi są bałwochwalcami, zasługującymi na ukamieniowanie!“

Wówczas Jedonja wyprostował się: „Kapłani nasi, Jehielu, pochodzą ze szczepu Lewi, podobnie jak kapłani jerozolimscy! Mają błędy swe, gdyż są ludźmi, lecz mogą spokojnie stać obok tych, co żyją w świątyni syońskiej!“

„Jak to rozumiesz?“, zapytał Jehiel niepewnym głosem.

„Jesteś teraz oddalonym od Jerozolimy, Jehielu“, odparł Jedonja, „ale nie jesteś poza światem, będąc w Jeb. Wiemy co się dzieje w Jerozolimie! Dlatego nie powinienes łżyć kapłanów naszych — żaden z nich nie jest mordercą! Lecz arcykapłan Jochanaan, syn Jojady, wnuk arcykapłana Eljaszita, zabił własnego brata, Jezusa, w samej świątyni! Bagoas, namiestnik Judei, pers, wielbiciel ognia, wtargnął pełen gniewu do świątyni — on, niewierny! A gdy żydzi tłumaczyli mu, jaką hańbę i jaki wstyd wyrządza tym sposobem ludowi, odparł:

że jest czystszy, aniżeli bratobójca, który sprawuje tu urząd jako arcykapłan! I nazaczył wam jako karę, że musicie płacić pięćdziesiąt drachm za każde jagnię, zarznęte przy ofiarach codziennych! — W naszej świątyni, Jehielu, nigdy pers nie żądał podatku od ofiary jako kary za morderstwo. I nigdy niewierny nie przestąpił progę jego. Powinieneś strzedz się, Jehielu, i nie mówić nic złego o naszych kapłanach.“

Na schodach, wiodących na dach, odezwały się kroki: Zjawił się mężczyzna w egipskim stroju i o egipskim kroju brody. „Dziadku“, zawołał, „posyła mnie syn twój, Machseja! Cały lud zebrał się na placu świątyni, czeka ciebie i posłańca z Jeruzolimy!“

„Powiedz im, że zaraz przyjdziemy!“; wołał Jedonja za odchodzącym. Niech przygotują ofiary!“

Jehiel zapytał: „Egipcjanin? Czy i obcy biorą udział w waszej służbie Bożej?“

„Egipcjanin, tak!“; odparł stary. „Ashor, syn Zachona, budowniczy. Przeszedł na naszą wiarę, gdy poślubił Mibtachję, wnuczkę mą.“

„Nie powinniście dawać córek waszych obcym za żony“, zawołał Jehiel, „ani pozwolić na to, by synowie wasi obierali sobie obce żony! Czy nie wiesz,

że prorok Ezra wypędził wszystkie obce kobiety z świętego miasta? Wszyscy niewierni są nieczystymi — nie powinniście się ich dotykać“.

„Wszystkie, Jehielu, wszystkie?“, odparł stary.
„Czy naprawdę myślą tak w Jerozolimie? Syn mój Machseja przyniósł mi stamtąd pieśń — napisał ją Jezajasz, również prorok — i do tego większy i prawdziwszy, niż twój Ezra i Jeremjusz! Daliśmy ją przetłumaczyć na perskie, i posłańcy moi zawieźli ją do Suzy, do stolicy perskiej, gdyśmy podali prośbę o budowę świątyni. Jako dar wszystkich żydów dla króla. W pieśni tej Jezajasz wita króla Koresa, persę, niewiernego, wielbiciela Mazdy — jego wita jako mesjasza żydów! Czy nie znasz pieśni tej, Jehielu bar Obadja?“ Posłuchaj:

„Tak mówi Pan do Koresa, pomazańca swego: „Biorę prawą rękę twą, by poddać pogan władzy Twej! Chcę pójść przed tobą i zrównać góry dla ciebie, rozbiję spiżowe bramy i złamię zapory żelazne! Bo ja Pan, Bóg Izraela, nazwałem cię po imieniu twem, dla Jakóba, sługi mego, i dla Izraela, mego wybrańca. Kazałem ci powstać w sprawiedliwości i wyrównam wszystkie drogi twe. Z tobą jest Bóg — a ty zaiste, jesteś Bogiem ukrytym, ty jesteś Bogiem Izraela, jesteś zbawicielem!“

„Czy mam ci jeszcze coś powiedzieć, Jehielu, bar Obadja? — Jakżeż mielibyśmy wypędzić z domu naszego obcych, którzy wierzą w to, co my, jeśli wielki Jezajasz króla Koresa, zwolennika Zoroastra, wielbiciela ognia, zowie naszym Bogiem i zbawicielem?“

Jehiel zagryzł wargi. Musiał nareszcie wypowiedzieć gorzką wiadomość, którą przyniósł dla starego, lecz nie wiedział, jak się do tego zabrać. „Słuchaj, Jedonjo“, rozpoczął, „niejedno się zmieniło w kraju żydów. Księga ustaw naszych —“

Lecz znowu przerwał mu stary. „Przyjęliśmy ją. Podsunęliście ją Mojżeszowi — to mnie dziwi, gdyż imię jego jest egipskie, a nie hebrajskie! Nie od razu zdobyła sobie tu uznanie — trwało to pokolenia całe, aż się do niej przyzwyczajono w naszych kolonjach egipskich. Lecz przyjęliśmy ją — powiedziałem ci już, że w nowej naszej świątyni nie będzie ani skrzydlatych węzów, ani Masseb, ani Aszer.“

„Zakon stał się większym i surowszym“, ciągnął dalej Jehiel. „Ezra przyniósł nowy zakon z Babilonji“.

„Syn mój opowiadał o tem“, odparł Jedonja, „dowiadywał się dokładnie u ludzi w Judei i w Samarji. Nowy zakon — i ten również ogłoszony pod imieniem Mojżesza, urodzonego tu nad naszym

Nilem! Czy wiesz, Jehielu — to ciasny zakon, nigdyby dziecko tego potężnego strumienia nie było go wymyśliło. Nie wiele jeszcze o nim wiem — ale wiem to jedno, że jestto zakon niewoli. Wolni żydzi w Judei i Samarji, ci którzy zostali w kraju i których nie zasłano do niewoli, nie mogą się z nim zaprzyjaźnić!“

„Nie mów o samarytanach“, odparł Jehiel, „nienawidzimy ich bardziej, aniżeli niewiernych!“

Jedonja rzekł: „Dla nas są oni żydami, tak jak ludzie z Judei. Wzbogaciliście się bardzo w Babilonji mimo całej niewoli, tak że Ezra i przedniejsi mogli u Artakserksesa, króla perskiego, kupić wielki ferman, który pozwolił im wrócić do Jerozolimy i dał im władzę ogłoszenia nowego zakonu. A jednak — nie Ezra zdołał przeprowadzić to, że uznano nowy zakon w kraju żydów. Udało się to dopiero przyjacielowi jego, Nehemji, który był podczaszym u dworu króla perskiego — on to przybył, on rzecz przeprowadził — przeciw woli ludu. Niechaj będzie, jak jest — nie będę spierał się z tobą, Jehielu! Jeśli taka jest teraz ustawa — zastosujemy się do niej. Jeśli są jakieś przepisy nowe, zapoznaj nas z niemi. Nie możemy przeprzeć gwałtem wielkich zmian, nie z dnia na dzień — musi się to dziać powoli i stopniowo w naszych miastach egipskich.

Zrozumiesz to, Jehielu! Jednak spełnimy ustawę: świątynia nasza w Jeb w niczem ustępować nie będzie jerozolimskiej. Powiesz mi wszystko, bracie, ja sam spiszę to na nowych zwojach papyrusowych. Jutro w ciągu dnia! — Lecz teraz chodź, lud niecierpliwi się. Czekali pięć lat na położenie kamienia węgielnego dla nowej świątyni — nie daj im czekać dłużej jeszcze.“

Obrócił się, by odejść, uchwycił rękę Jehiela. Lecz ten uwolnił się, rzekł szybko: „Nie mogę iść z tobą, Jedonjo!“

Stary przeląkł się. „Co ci jest? Czy czujesz się chorym? Czy podróż —“

„Nie! Nie!“ zawołał człowiek z Jerozolimy. „Nie mogę iść z tobą, bo — bo —“ Szukał słów, podniósł ręce, spuścił je znowu. „Słuchaj mnie, stary“, ciągnął dalej. „Arcykapłani Rada Jerozolimy zabraniają wam, odbudować świątynię waszą!“ Odetchnął, jakby zbawiony — nareszcie wypowiedział, co mu było polecane.

Stary chwycił się za głowę. Zachwiał się, zatonął, oparł się o brzeg dachu, by nie upaść.

„Co?“, wybełkotał. „Coś ty powiedział?“

Jehiel nie odpowiadał. Milczenie — z dołu słyszano głos, dochodzący z placu świątyni. Ktoś tam

przemawiał — słyszano wśród nocy ostatnie jego słowa :

„— — położyć pierwszy kamień tej jeszcze nocy! A w krótkim czasie świątynia nasza będzie tu stała — większa, wspanialsza niż dawniej! Chwała Jahwie, Panu zastępów niebieskich!“

A tłum podjął te słowa, krzyczał i radował się.

Jedonja drżał. „Coś ty powiedział?“, powtórzył. Potem zastanowił się. „Nie — nie — to niemożliwe — tego nie mogłeś powiedzieć! Jakiś demon szepnął mi te słowa do uszu!“ Zaśmiał się, ciągnął dalej: „Staję się bardzo starym, dziecinnym! Myślałem właśnie, że — Ale wszak to głupstwa! Przypominam sobie dobrze, powiedziałeś mnie i synowi memu, że żałoba nasza skończona! Że powinniśmy pić i ucztować —“

„Tak, to powiedziałem“, przerwał mu Jehiel, „oto orędzie arcykapłana i Rady: Zakończcie żałobę swą! Ucztujcie i pijcie wino! Złóćcie szaty żałobne! Używajcie znowu maści i odwiedzajcie żony wasze! Ale, Jedonjo — świątyni waszej nie wolno wam już odbudować!“

Jedonja patrzył nań nieruchomy. Potem nagle wywrócił się — jak wół egipski, któremu kamienna maczuga rzeźnika rozbiła czaszkę. Jehiel przyskoczył doń, podniósł go, poprowadził go do ławki.

„Nie mogę tego zmienić, stary“, rzekł, „jestem tylko posłańcem, muszę donieść, co mi polecono“.

Stary potrząsnął głową, otarł silny pot, spływający mu z skroni.

„Dlaczego?“, zaczął. „Dlaczego? Czy dlatego, że przy dawnej naszej świątyni stały słupy kamienne i święte pale? Że przynosiliśmy ofiary dla Tammuza i dla Boga słońca, dla Hanaty i dla Aszimy? — Przysięgam ci na życie me, na życie dzieci mych i wnuków i prawnuków, nie uczynimy tego już, jeśli Jerozolima tego wymaga! Zabierzcie nam Tammuza — zabierzcie Hanatę — lecz zostawcie nam Jahwę!“

Człowiek z Jerozolimy nie odpowiedział.

„Nie mówisz chyba na serjo“, ciągnął stary. „Posłaliśmy dużo podarunków do Jerozolimy, złote monety, srebrne i złote czary i kielichy — wszystkoście wzięli. Poślemy wam jeszcze trzy razy więcej! Jeśliśmy popełnili błędy, jeśliśmy wykroczyli przeciw nowemu zakonowi, któregośmy nie znali, nałóżcie nam pokutę! Spełnimy ją wiernie! Król perski dał wam pełnomocnictwo nad Judeą i Jerozolimą i wszystkimi żydami — ustanowił was sędzią nad każdym żydem, który nie stosuje się do przykazań Boga i do przepisów króla — tak tedy wasza ustawa jest ustawą Boga, tak jak ustawa króla. Więc sądzcie! Lecz król sam i namiestnicy jego dali

nam pozwolenie na budowę świątyni naszej — dlaczego wy go nam odmawiacie?“

Trzech ludzi pędziło schodami na górę, dwóch wojowników babilońskich i pułkownik perski.

„Artafernes mnie posyła!“, zawołał. „Mamy wiadomość, że żołnierze egipscy za miastem wyszli z kwatery swej. Zamordowali oficerów swych i zbierają się w lesie palmowym przy świątyni Chnuba. Masz bezzwłocznie zwołać ludzi swych i obsadzić silnie bramę swę i mur. Syn twój, Machseja, ma się trzymać na pogotowiu z dwustoma ludźmi; przed świtem ma się udać do kataraktów, obsadzić wyspy skalne, poświęcone boginiom egipskim Satis i Anubis.“

Jedonja wyprostował się: „Powiedz generałowi, pułkowniku Hornufis, że rozkazy jego będą spełnione.“

Pułkownik już miał odejść. „Każę ci też powiedzieć, Jedonjo“, zawołał jeszcze, „byś bezzwłocznie położył kamień węgielny świątyni swej. Żołnierze fenicjańscy i babilońscy podzielają twogę waszą — połóż kamień, to im natychmiast doda otuchy!“ Wielkimi skokami pobiegł schodami na dół.

Znowu zwrócił się Jedonja do człowieka z Jerozolimy. „Czy słyszysz, Jehielu“, rzekł, „czy

słyszysz? Cały lud w Jeb, żydzi i niewierni, wierzą silnie w prorocтва żony Mahuzji! Walczą tylko z połową odwagi, będziemy jak dzieci przed mieczem egipcjan, jeśli nie postawimy kamienia węgielnego dla świątyni Jahwy!“

Jehiel kręcił powoli głową. „Nie mogę ci pomóc, Jedonjo! Zakon ustanawia — a nie jest to zakon Ezry, lecz stary zakon, udoskonalony tylko przezeń — ten ustanawia, że w Jerozolimie tylko, tylko w samem świętem mieście Jahwe ma siedzibę swą. Tam tylko stać może świątynia, tam tylko ołtarz ofiarny.“

„Gdyśmy opuścili Judeę“, szepnął Jedonja, wówczas na każdym wzgórzu i pod każdym drzewem zielonem stała świątynia jego lub jego ołtarz!“ Potem zastanowił się, głos jego wzmocnił się: „Lecz Jezajasz, największy prorok nasz, powiedział: „Pięć miast w Egipcie będzie mówiło mową Kanaanu i będzie przysięgało na Jahwę, Pana zastępów niebieskich. Ołtarz Jahwy stać będzie na środku Egiptu — to będzie znakiem i świadectwem dla Jahwy w Egipcie: jeśli ciemżeni wołać będą do Jahwy, wówczas pośle im zbawcę, który będzie walczył za nich i uwolni ich!“ — Tak mówił wielki prorok Jezajasz dawno po owej ustawie! A czy to, co powiedział, nie jest prawdziwym? Ciemży stoją przed bramą, a my wołamy

do Jahwy! I zbawca zbliża się już Nilem — Artabanos, którego namiestnik przysyła nam na pomoc z licznem wojskiem — ten będzie walczył za nas i ocali nas, skoro tylko stanie pierwszy kamień świątyni Jahwe!“

Jehiel odparł: „Prorocy nie są odpowiedzialnymi — nie jestem sędzią ich, który wyrokuje, czy mówią prawdziwie, czy mylnie. Wiem, że stary zakon nigdy ściśle nie był przeprowadzonym — lecz dziś stosujemy się doń, od dni Ezry i Nehemjasza! W imieniu tego zakonu zaś stoję tu przed tobą, Jedonjo, w imieniu arcykapłana i Rady Jerozolimy, sędzi twych, których Jahwe sam i król perski ustanowili nad tobą. W ich imieniu zakazuję ci budować świątynię!“

Z daleka z poza murów twierdzy, z lasu palmowego i z sykomor, otaczających świątynię Chnuba, słyszano niewyraźny hałas. Potem wrzawę, uderzanie bronią, tarczami i oszczepami. Tuż potem odezwały się okrzyki od Lwiej Bramy i rozbrzmiewały dalej wśród ulic. Jedonja przystąpił do brzegu dachu, rozglądął się, widział mężczyzn i kobiety, śpieszących przez ulice w rozburzeniu. Poznał pułkownika swego Hoszęę, zawołał go, kazał mu bezzwłocznie zwołać wszystkich żołnierzy. Potem klasnął trzy razy

w ręce, polecił niewolnikowi, który popędził w górę, by mu przyniósł rynsztunek.

Głos syna jego znowu go przywołał na brzeg dachu. „Egipcjanie przyłapali łódź“, wołał głos ten, „łódź, którą przysłał namiestnik. Lecz jeden z marynarzy fenicjańskich zdołał uciec; właśnie przeszedł przez Lwią Bramę! Przynosi wiadomość, że król umarł.

„Król umarł!“, szepnął Jedonja, „nasz pan, nasz opiekun, król Darjusz umarł!“

„Na Jahwę, Pana zastępów niebieskich, ojcze“, wołał dalej głos Machseji, „nie zwlekaj dłużej, połóż kamień węgielny. Buntownicy egipscy wiedzą o śmierci króla, czy nie słyszysz radosnych ich krzyków z świątyni Chnuba? Skorzystają z zamętu, zaatakują nas tej nocy jeszcze! Błagam cię, ojcze, zejdź na dół z człowiekiem z Jerozolimy, połóż kamień węgielny dla Jahwy, Boga naszego, który chroni miasto przed wszystkimi wrogami.“

Raz jeszcze Jedonja zwrócił się do Jehiela. „Czy możesz się wahać jeszcze?“, zawołał. Mówisz, że stoisz przedemną w zastępstwie arcykapłana i Wysokiej Rady Jerozolimy! Działaj więc w ich imieniu! Czy sądzisz, że oni by się wahali w tej chwili? Gdy wrócisz, opisz im, co tu widziałeś — sam Jahwe z ciebie przemówi! Zrozumieją to, zgodzą się na to,

co uczyniłeś. Bądź zbawicielem, o którym mówił Jezajasz: pozwolenie do budowy świątyni!“

Lecz Jehiel bar Obadja nie dał się wzruszyć. „Nie ja — ustawa zadecydowała!“, odparł.

Jedonja uchwycił rękę jego. „Czyż nie widzisz, co to znaczy?“, krzyknął. „Syene zupełnie niepewna, może już w tej chwili jest w rękach egipcjan. Skoro twierdza nasza padnie, cała Tebais będzie w mocy wrogów! Śmierć króla potęguje siły ich — zrzucą jarzmo persów i zawładną całym Egiptem! To oznacza śmierć wszystkich persów — a równocześnie wszystkich żydów! Czy słyszysz, Jehielu, wszystkich, wszystkich mężczyzn i kobiet i dzieci! I moją śmierć, Jehielu i twoją! I grecy powstaną, którzy nienawidzą persów od czasów Kserksesa! Tu w Egipcie i w Jonji i w Lidji. Rozbijają państwo Persów, a wraz z niem zburzą Judeę i Jerozolimę! Daj pozwolenie — ocal to miasto, a wraz z niem własny kraj swój! Chodź ze mną, Jehielu, położmy kamień!“

Jehiel bar Obadja potrząsł głową.

„Ustawa tego zabrania!“, odparł.

Nanowo wrzawa się odezwała, tym razem tuż pod domem. „Jedonjo“, wołali żydzi, „Jedonjo bar Gemarja! Naczelniku! Jedonjo! Zejdź! Śpiesz się! Połóż kamień węgielny świątyni!“

Milcząc spoglądał Jedonja na obcego. Bez słowa, niemy błagał go po raz ostatni. Lecz oko Jehiela odwróciło się.

Wtedy starzec zbliżył się do brzegu dachu. „Milczcie“, zawołał, „milczcie wszyscy! Ja, Jedonja, naczelnik wasz, chcę do was przemówić. Słuchajcie mnie, żydzi z Jeb! Oto ten człowiek, posłaniec z Jerozolimy, Jehiel bar Obadja, z szczepu Sefatja, z Betanji, ten człowiek przybył do nas, posłany przez arcykapłana i przez Radę Jerozolimy. I w imieniu arcykapłana i Rady świętego miasta i w imieniu ustawy ogłasza nam, że nie powinniśmy więcej smucić się zburzeniem świątyni naszej. Mamy włożyć szaty świąteczne, powiada, mamy namaścić się i pić i ucztować i pójść do kobiet naszych! Oto rozkaz sędziów naszych, arcykapłana i Wysokiej Rady w imieniu ustawy! Ale, powiada: świątyni naszej nie wolno nam odbudować i nie wolno nam kłaść kamienia węgielnego do naszej świątyni! Bo taką jest nowa ustawa żydów: tylko w samej Jerozolimie może stać świątynia Jahwy i tylko tam ołtarz jego — zresztą nigdzie w świecie — dlatego że kapłani Chnuba zburzyli świątynię naszą — dlatego właśnie mamy się teraz radować, powiada — gdyż to był występpek wobec ustawy! I ustawa żydów w Jerozolimie zabrania wam wszystkich bogów — nie wolno wam

modlić się do boga słońca na dachach, ani do Terafim w domach! Ani do Aszimy, ani do Tammuza, boga wiosny — ani do Hanaty Jahwy! Tylko do Jahwy samego wolno wam modlić się — tak każe ustawa. Ale świątyni jednak wznieść mu wam nie wolno, ani zbudować ołtarza — i nie wolno wam przynosić mu ofiar, ani kadzideł, ani jadła, ani całopalenia! Bo wolno tylko t y m żydom i t y m kapłanom, którzy mieszkają w Jerozolimie. Tak każe ustawa!“

* * *

Amyrtajos, który potem został faraonem, sam poprowadził egipcjan pod mury Jebu. Pia, syn Espemuta, nadszedł z Syeny; zabił pułkownika żydowskiego Kwonję i jego secinę. Wszyscy żołnierzy greccy i libijscy przeszli na stronę egipcjan, potem i fenicjanie. Dargman, który prowadził oddział babilończyków, trzymał ich silnie w rękę; nie przeszli do przeciwnika. Lecz opór ich był słabym, podobnie jak opór żydów —

Każdy znał słowa prorokini, żony Mahuzji, słowa, które tak często wołała po ulicach:

„Byliśmy straceni, owego dnia, gdy obcy wtargnęli do świątynicy domu Pańskiego. A skoro hańba dalej trwać będzie — wówczas Pan ukara was! Nie zważacie na rozkaz jego — tedy pan napełni strumień Nilu ciałami waszemi — one zaśpiewają piosenkę!

„Patrzcie, oto nadszedł czas, gdy w całym kraju jęczeć mają ranni śmiertelnie. Słysząc wołanie w Jeb i wielkie biadanie w kraju egipcjan. Pan burzy twierdzę Jeb — miecz przyjdzie na mężczyzn i kobiety Jebu i na dzieci ich. Miecz przyjdzie na konie i wozy i na cały lud!

„Bo twierdza Jeb będzie zgruchotaną dlatego, że się podniosła przeciw Panu. Trwoga, mogiła i sznur przyjdzie na was — tak mówi Pan.“

Każdy znał słowa te — każdy wiedział, że ów dzień teraz nadszedł. Jakżeż tu walczyć?

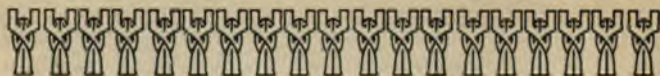
Tylko procarze irańczyka Dargmana, owych stu pogan z oazy Chârezm, mężny stawiali opór. Nie rozumieli, co inni mówili, znali tylko dziki język swój z nad Oksusa. Zabito ich, każdego z osobna i rzucono ciała ich do Nilu.

I wszystkich persów zgładzono, którzy byli w twierdzy. I żydów. Wszystkich, mężczyzn, kobiety i dzieci. Koło Bramy Słoniowej padł osiemdziesięcioletni Jedonja, syn Gemarji; trupem padł na trupa syna swego Machseji.

Atoli męża wnuczki jego, Ashora, syna Zachona, budowniczego egipskiego, schwytali. Ukrzyżowali go.



Dama tyfusowa.



Tu w sercu jest miejsce, tam jest On,
Pan świata; nie staje się wyższym przez
dobre uczynki, ani niższym przez złe.

Brihadârangaka-Upanishad 4, 4, 22.

Mała sala była słabo tylko oświetlona. Okna — zasłonięte, stoły zestawione i przykryte zielonym sukniem, tak, że wyglądały jak jeden wielki stół. Dokoła siedziało sześciu mężczyzn: Erwin Erhard, Zygfryd Loewenstein, hrabia Tassilo Tun, Walter Ayx, Hans dell'Greco i Randolf Ulbing. Siódme krzesło stało puste.

Przed zielonym stołem, prawie w środku pokoju, stał duży fotel skórzany, obok niego mały stolik. Na nim popielniczka, zapalki i papierosy. Pozatem niewiele w sali odróżniano.

Owych sześciu czekało. Ledwo rozmawiali z sobą. Z hotelu Carmen, z położonego po drugiej stronie zatoki, dochodziły urywany dźwięki jaszu.

Zygfryd Loewenstein był adwokatem. Czterdziestka. Żyd — ale pozatem jeszcze: z nad Renu.

Przez cztery lata był oficerem frontowym. Order „pour le mérite“ — on!

Chevalier Hans dell'Greco był tryjesteńczykiem. Porucznik byłej austriackiej marynarki. Obecnie Rzym musiał mu płacić pensję, a on starał się podnieść majątki ziemskie swe w Gorycji, które włosi mu zniszczyli.

Tassilo Tun był hrabią czeskim. Boczna linia Pięćdziesiątka. Wodnisto niebieskie oczy jego łypały, usta mu drżały.

Dr. inż. Erwin Erhart był przemysłowcem z nad Remu. Inżynier i wynalazca. Bardzo bogaty, bardzo elegancki i pielęgnowany. Ciemny, smukły.

Randolf Ulbing był mały i okrągławy. Jasnoblond — ręce jego wyglądały jak ręce rzeźnika z manikierowanymi paznokciami. Był szefem domu handlowego Ulbing w Hamburgu i Nowym Yorku. Obywatel amerykański — w ten sposób miliony jego były w bezpieczeństwie.

Baron Walter Ayx był malarzem, mieszkał w Monachjum. Włosy jego były białusieńkie, aczkolwiek nie miał jeszcze lat trzydziestu.

Tych sześciu czekało. Palili. Nie rozmawiali z sobą.

Potem otworzyły się drzwi. Wszedł pułkownik Lionel Thursby. Z studenckich czasów swych w Ge-

tyndze miał małą bliźnę na lewym policzku — a dużą, czerwoną na środku czoła: ta znów pochodziła z Flandrji. Czarne oczy jego świeciły się.

„Nadchodzi!“ rzekł.

Weszła kobieta. Wysoka i smukła. Pułkownik zamknął za nią drzwi i wyciągnął klucz. Następnie wskazał milcząco na wielki fotel w środku pokoju. Sam zbliżył się do stołu, położył klucz przed adwokatem, siedzącym na środku i usiadł na ostatniem z krzeseł obok okna.

Smukła pani nie usiadła. „Czemu pan zamyka drzwi na klucz?“ zawołała. „Czy będę tu trzymana gwałtem?“

Doktor Loewenstein kiwnął głową: „Zdaje się“.

Niewiasta postąpiła krok naprzód: „To wygląda na trybunał. Czy panowie chcecie może sądzić mnie?“

I znów adwokat kiwnął głową: „Zdaje się.“

Wówczas wybuchła głośnym śmiechem. „Proszę“, rzekła, „jak się panom podoba.“ Usiadła na fotelu wygodnie, zapaliła papieros. A „proszę więc panów, jestem ciekawa.“

Adwokat wpatrywał się w nią nieruchomo. Od ośmiu lat nie widział kobiety tej — a była zupełnie tą samą, jak wówczas. Ani trochę się nie zestarzała. Poruszała wąskimi stopami, odzianymi w szpiczaste,

popielate trzewiczki. Popielata, jak jedwabne pończochy jej, była też i suknia charmeuse. Na plecach nosiła starą hiszpańską mantylę, której kwiaty gubiły się prawie i bladły w ciemnym fiolecie. W rękę trzymała długie rękawiczki — i małą torebkę perłową. Cera była nieco ciema, bardzo zdrowa. Obfite, czarne włosy jej przeplatał sznur perel, drugi, jeszcze dłuższy, nosiła na szyji. Ale w pierścionkach jej osadzone były czarne perły. Może nie była piękną — lecz wyglądała, jak gdyby miała bardzo piękną siostrę. Tylko oczy jej były bardzo ciekawe, żółte złoto, mięszane z kolorem brązowym, zielonym i białym, jak oczy wielkich ropuch leśnych.

„W jakim ona właściwie może być wieku?“ pomyślał. Widział ją dziś rano w kąpieli — żadna z innych kobiet nie miała takiej postaci. Z pewnością ma więcej niż lat czterdzieści, rozważał, raczej pięćdziesiąt, a może więcej. A nikt, kto ją widzi, nie dałby jej więcej niż dwadzieścia pięć. To zdumiewające, pomyślał.

Marja Stuyvesant strząsnęła popiół do miseczki. „Na serjo, panowie“, rzekła spokojnie, „jeśli mi kto z was wnet nie wytłómaczy, co to wszystko ma znaczyć, nie potrafię zrozumieć tego dowcipu. W dodatku nie jestem dziś właściwie usposobiona

do żartów, otrzymałam wiadomość, która mnie żywo poruszyła.“

Adwokat wziął do ręki telegram, leżący na stole. „Prawdopodobnie tę samą, którą i myśmy otrzymali: młody doktor Terbune zastrzelił się w Zurychu! — Ale przekona się pani wnet, że nie zeszliśmy się tu, by żartować.“

Marja Stuyvesant przerwała mu: „Czemu, pani — Frydele?“ Uśmiechnęła się do niego. „Zestarzałeś się trochę, od kiedym cię nie widziała. A gdzie się podziała czupryna? — Lecz proszę, czy zechcesz mi nareszcie powiedzieć, co ta uroczystość oznacza? Widzisz, wszak jestem zupełnie nie przygotowaną. Czegoś odemnie chcecie — wiem to już od dawna. Spotkałam hrabiego Thuna w zimie w operze wiedeńskiej — mówiliśmy trochę powiedziałam mu, że nie wiem jeszcze dobrze, dokąd pojedę na wiosnę. W dwa miesiące później pisze mi. Poleca mi tę oto wyspę Brioni — odpowiada ona zupełnie życzeniom, które wówczas wyraziłam. Spokój — a przecież najlepsze towarzystwo. Samotność, jeśli się chce, lub tańce i muzyka, skoro się chce inaczej. I — i — no, jednym słowem: wszystko. W cztery tygodnie później pisze mi poraz drugi, zapytuje, czy odebrałam list jego — i czym się zdecydowała pojechać do Brioni? Doprawdy, zdecydo-

wałam się właściwie tylko dlatego, że grzeczność jego, która wcale doń nie jest podobną, kazała mi domyślać się czegoś innego. Zapewne dobrą dał mi radę i bardzo mu jestem wdzięczną za nią. Pierwszym człowiekiem, którego spotykam tu na moście — jest pułkownik Thursby; opowiada mi, że jest obecnie w Rzymie przy poselstwie i że przyjechał tu na odpoczynek. Lecz nie zdradził się, iż wiedział, że mam tu przyjechać. W pięć dni później przybywa dell' Greco, a dziś, akurat w dwa tygodnie po przybyciu mem, jesteście tu wszyscy! Dla mnie oczywiście, co Frydel?“

Adwokat kiwnął głową: „Bez wątpienia.“

„Dziękuję wam“, rzekła piękna kobieta. „To z pewnością bardzo pochlebne. Lecz sądzę, że bodaj z każdym z was miałam kiedyś małe przejście. Wydaje mi się nieco dziwnem, że mnie tu przywabiacie — bo w końcu to przecież niczem innym nie jest — a potem za mną przyjeżdżacie. Dla hotelu to z pewnością korzystne — siedmiu gości od razu!“

„Mogło też być siedemdziesięciu i dużo więcej!“ rzekł dr. Loewenstein. „Panów i pań. Zastępujemy niejako wszystkich innych.“

„Więc rodzaj posiedzenia rady nadzorczej“, rzekła Marja, „panowie zastępujecie głosy nieobecnych akcjonarjuszów. Zdaje się być niewątpli-

wem, że skrzywdziłam czemś czcigodne wasze towarzystwo; dlategoście mnie, mogę chyba powiedzieć, w nieco niezwykły sposób — zmusili zjawić się przed trybunałem waszym. Proszę więc o sprawozdanie pańskie, panie przewodniczący!“

„W tych czasach, pani Marjo Stuyvesant“, odpowiedział adwokat, „dzieje się wszędzie w świecie wiele rzeczy, które pachną raczej gwałtem, aniżeli poprawnością. Jeśli chcieliśmy, by się pani wogóle tu zjawiła, nie wolno nam było zbyt surowo troszczyć się o to, czy wszystko przytem działo się zupełnie sprawiedliwie i prawidłowo. To pani zrozumie. Główna rzecz: mamy panią tutaj, możemy zakomunikować pani to co mamy do powiedzenia. A co się tyczy nas siedmiu, to jestem zdania, że reprezentujemy całe społeczeństwo ludzkie, przynajmniej o ile takowe bezpośrednio lub pośrednio weszło kiedykolwiek w kontakt z panią lub jeszcze wejdzie. Proszę panią bardzo, pani Marjo, zechciej pani słuchać nas spokojnie — zdaje nam się, że możemy pani donieść cośkolwiek o pani samej, czego pani nie wie — lub czego pani przynajmniej nigdy nie widziała w tem świetle. Będzie pani miała dość sposobności do repliki, a potem — do działania.“ Otworzył mapę skórzaną, leżącą przed nim i wyciągnął plik papierów. „Ten oto list“, ciągnął dalej, „dał

pochoł do akcji naszej. Napisał go jakiś rok temu pułkownik Thursby do doktora Erharta — ten go omówił ze mną.“

„Pan mnie chyba bardzo nienawidzi, pułkowniku?“, zwróciła się Marja do Anglika.

„Zapewne“, rzekł Anglik. „Wpędziłaś pani do grobu dwóch braci mych i moją siostrę. Uczyniłaś pani życie me piekłem — o tak, nienawidzę pani.“

Marja Stuyvesant ruszyła ramionami. „Proszę mówić dalej, Frydel!“

„Omówiliśmy, co robić. Nie mogę zataić, że namyślaliśmy się długo, czy nie byłoby możliwem zwrócić się do władz, do psychjatrów i sędziów, by uwolnić społeczeństwo od pani. Zaniechaliśmy myśli tej dlatego tylko, że — mimo iż trucizna Marji Stuyvesant cieszy się prawie międzynarodową sławą — zrozumieliśmy, że nie mamy właściwej podstawy, by przedsięwziąć kroki sądowe przeciw pani. Postanowiliśmy więc działać na własną rękę. Porozumieliśmy się z każdym, o którymśmy wiedzieli lub słyszeli, że się kiedykolwiek z panią zetknął; stwierdziliśmy też dokładnie małą część wszystkich wypadków, w których tylko wrażenie osobistości pani, rysunki jej i książki szczególne spowodowały niebezpieczeństwo. W ciągu tego roku we wszystkich częściach Europy i Ameryki, można nawet powiedzieć na

całej kuli ziemskiej, pracowano nad tem, by z setek ukrytych czeluści wydobyć materiał sprawy Marji Stuyvesant. Materiał ten naturalnie także nawet w przybliżeniu nie jest wyczerpujący, lecz jednak taki obfity, że wystarcza aż nadto, by pani — a o to jedynie idzie — by pani dać jasny obraz tego, co życie pani oznacza dla społeczeństwa ludzkiego.“

Wyciągnął z mapy skórzanej zeszyt i podał go malarzowi, siedzącemu po prawej ręce jego.

„Oto“, oświadczył, „monografia przyjaciela pani, młodego lekarza dra Ramona de Ayala —“

Pani Marja przerwała mu. „Ów pan nigdy nie był przyjacielem mym. Był u mnie przypadkowo w latach wojny w pracowni mej w Sewillji — dwa razy — trzy razy najwyżej. Zapragnęłam wówczas kokainy i prosiłam go, by mi ją spreparował.“

„Rzeczywiście“, potwierdził dr. Loewenstein, „młody Hiszpan spreparował pani, czego pani chciała. Żałować tylko należy, że potem sam zaczął używać kokainy.“

„Nie namawiałam go do tego“, oświadczyła dama.

„I to prawda“, odpowiedział adwokat. „Don Ramon sam to pisze. Z tem wszystkim: widział, że pani używa kokainy i poszedł za przykładem pani. Przyzwyczaił się do tego. Dziś jest w sanatorjum —

nieuleczalny. Od niego otrzymaliśmy tę oto wcale zajmującą monografię o sprawie Jorga Quintera — która, jeśli się zastępuje rzeczy fizyczne psychicznymi, stanowi uderzającą analogję do wypadku pani. Takie przykłady roznosicieli bakterji obserwowano dość często, lecz ten właśnie opis jest szczególnie jasnym i prostym. Ponieważ wystarczy nam stwierdzić tylko najzwęższej fakty, kazałem zrobić mały wyciąg — może pan zechce go nam przeczytać, panie baronie!“

Walter Ayx zaczął czytać: „Jorge Quintero urodził się 1882-go roku w Ronda w Andaluzji jako syn chłopów. Podczas służby wojskowej przebywał czas jakiś z pułkiem swym w Marokko. Już w owym czasie w pułku, jak później stwierdzono, była pewna ilość infekcji tyfusowych; po powrocie do Malagi wybuchła prawdziwa epidemja. Gdy opuścił wojsko, Quintero znalazł wprawdzie zajęcie w rozmaitych chłopskich gospodach w okolicy Granady — w każdym z nich chorowali domownicy na tyfus. Wówczas już fakt ten wydawał się prostym wieśniakom tak w oko wpadającym, że Jorga — który pozatem był lubiany jako dobroduszny, uprzejmy, pracowity, a przytem przystojny człowiek — otwarcie nazywano roznosicielem nieszczęścia. Następnie znalazł w pewnym szpitalu w Granadzie miejsce jako dozorca

chorych; skończył był w pulku kurs samarytański. Zaledwie w dwa tygodnie później wybuchła w szpitalu epidemia tyfusowa, która pochłonęła nie mniej jak pięćdziesiąt cztery ofiary. Musiano prowizorycznie zamknąć szpital i personal odprawiono. Jorge miał potem rozmaite zajęcia w Granadzie, Jaenie, a następnie w Sewilli — we wszystkich wypadkach domownicy zachorowali na tyfus. Wreszcie znalazł znów miejsce jako dozorca chorych w Sewilli, gdzie żaden z lekarzy nie miał najmniejszego pojęcia o poprzednim jego życiu. Kilka miesięcy później w szpitalu tym wzięła początek najstraszniejsza epidemia tyfusowa, jaką Sewilla kiedykolwiek widziała — ofiary jej obliczano na blisko tysiąc czterest. Przypadkowo podejrzenie padło na Jorga — pewna chłopka z Granady poznała w nim parobka, który jak twierdziła, przywłókł jej śmierć do domu: mąż i dwoje dzieci jej umarło na tyfus. Kobieta ta wszczęła taki krzyk w szpitalu i po ulicach, że zaareztowano ją w końcu. Przesłuchano ją, uczyniła stanowcze zeznania — wdrożono badania i skonstatowano, że się istotnie wszystko tak miało. W ciągu krótkiego czasu przeszłość nieszczęśliwca została odsłoniętą całkowicie — on sam podał z całą gotowością, gdzie był zajęty i trzeba było tylko dowiadywać się tam o niego. Przedewszystkiem zaaresztowano

wano Quintera i trzymano go wodosobnieniu, lecz wypuszczono go rychło na podstawie sądowego orzeczenia, gdyż nie było żadnych danych. Co prawda, zgodził się potem na to, by go zamknięto w celi szpitalnej i tam go obserwowano. Ten czas aresztu dobrowolnego, podczas którego najznakomitsi bakterjologowie hiszpańscy nim się zajmowali, trwał około ośmiu miesięcy. Po upływie tego czasu musiano go wypuścić — pod silniejszym coraz naciskiem opinji publicznej i prasy lokalnej, która atakowała dyrekcję szpitala w sposób coraz ostrzejszy. Mimo najsurowszych środków ostrożności zdarzyły się nowe wypadki tyfusu — umarło siedmiu domowników, oraz jeden młody lekarz. Gdyby Hiszpanja była miała małą wyspę dla chorych na leprę, z pewnością by go tam wysłano — prawnie czy bezprawnie! Lecz teraz musiano go wypuścić na wolność. Wreszcie stary duchowny, jezuita Don José Hoyos, znany w całej Hiszpanji jako jeden z najgorszych Jaimistów, znalazł wyjście. Pojechał do Sewilli, odszukał nieszczęśliwego Jorga Quintera i —“

Tu dr. Loewenstein przerwał czytanie. „Dziękuję panu, panie baronie. Przeczytamy koniec później.“

„Szkoda“, rzekła pani Marja Stuyvesant. „Właśnie koniec by mnie interesował. Historia sama nie jest mi obcą — wówczas cała Sewilla o tem mówiła. Rozumiem oczywiście bardzo dobrze, moi kochani panowie, co chcecie powiedzieć. Wasz Jorge był lub jest jeszcze roznosicielem bakterji tyfusowych. Kto nie jest odpornym, ten się zaraża. Podobnie ja w opinji waszej jestem roznosicielką bakterji tyfusu duchowego — i dlatego o wiele, wiele niebezpieczniejszą aniżeli ów syn chłopów andaluzyjskich. Czyż nie tak?“

„Tak!“, kiwnął adwokat. „A my jesteśmy w położeniu owego jezuitę, któremu udało się w sprawie Quintera znaleźć drogę ratunku. Zaczął od tego, że starał się wyjaśnić biednemu chłopcu, co fatalna skłonność jego właściwie oznacza — mimo wszystkich rozmów jego z lekarzami bowiem do tej pory wcale sobie tego nie uświadomił. Tego samego, pani Marjo Stuyvesant, i mybyśmy chcieli spróbować. Mamy tu ogromny materiał, i jestem przekonany, że pani się nam otwarcie, może śmiejąc się, przyzna, że wszystko zgadza się co do joty. Zdaje się, że istnieje dość znaczna ilość osób, które są odporne na tyfus, nie będąc wcale szczepionemi. Niestety limfy duchowej dla bakterji pani nie wynaleziono jeszcze — a chociaż zapewne jest niemało

osób odpornych wobec tej lub owej trucizny pani — to jednak — przewrotność pani jest tak olbrzymią i wielostronną, że istnieje zaledwie jeden człowiek na tysiące, którego by pani nie potrafiła zarazić. Widzi pani: Quintero przedstawiał tylko niebezpieczeństwo zarazy tyfusowej, pani zaś stanowisz niebezpieczeństwo stokrotnych infekcji, z których każda z osobna jest o wiele niebezpieczniejszą.“ — Zrobił pauzę, zakaszał, wziął karafkę i nalał sobie szklanekę wody.

Pani Marja Stuyvesant zaśmiała się: „Od kiedy pijesz wodę, Frydel!?”

Adwokat podniósł szklanekę do ust — lecz odstawił ją zaraz. „Od kiedy z powodzeniem uczyniłem próbę, by się uwolnić od pani! Od kiedy oduczyłem się nareszcie w trzech sanatorjach po ośmiu kuracjach abstynencyjnych zaniechać pijaństwa, którego ofiarą stałem się dzięki pani, i to, o ile się zdawało, ofiarą bez ratunku. Od owego czasu!”

„Zapominasz o jednym, Frydel“, rzekła dama popielata. „Już, gdym cię poznała, umiałeś wypić porządnie — co?”

„Tak, tak!“, zawołał adwokat. „Zapewne, że piłem! Jak każdy porządny student! Lecz przez ciebie — przez panią jedynie stałem się pijakiem!”

Marja Stuyvesant odłożyła papirus. „No —

a teraz jesteś wyleczony — tem lepiej! Lecz z tem wszystkim nie wiem, dlaczegobym nie miała napić się wina — uważam że panowie nie bardzo galanccy.“ Rzuciła okiem na zielony stół. „Panie dell' Greco — przed panem stoi chablis — czy nie zechciałby pan przynieść szklanę?“

Trysteńczyk natychmiast podskoczył z miejsca, postawił przed nią szklanę i nalal wina. Następnie postawił flaszkę obok.

„Proszę bardzo —“, mruknął. Powrócił na swe miejsce.

Duża kobieta podniosła szklanę. Powoli rzekła: „Na pańskie zdrowie, panie doktorze! Jest chyba stosowniej, bym do pana w ten sposób przemawiała. Bo Frydel, ten którego niegdyś znałam, nie byłby nigdy pił ze mną wody!“

Poraz drugi adwokat wziął szklanę z wodą, podniósł ją, umoczył usta swe. Łyknął — potem silnie postawił szklanę na stół. Patrzył nieruchomo na kobietę, kąsał wargi swe. „Do stu djabłów“, szepnął, „do stu djabłów —“

Potem nagłym ruchem uchwycił flaszkę czerwonego wina, stojącą przed sąsiadem jego, hrabią, napełnił wielką szklanę aż pod wierzch, wypił ją jednym haustem.

„O“, uśmiechnęła się Marja Stuyvesant, „o —“

Milcząco dr. Loewenstein posunął mapę swą na prawo; bankier Ulbing wziął ją do ręki. „Nie prowadziliśmy badań naszych jednostronnie, łaskawa pani“, zaczął. „Jeśliśmy z jednej strony nagromadzili wszystkie nieszczęścia, które przez panią na świat przyszły, to z drugiej strony staraliśmy się, o ile możliwości, zebrać też wszystko, co przemawia na korzyść pani. To zadanie mnie przypadło — panowie ci polecili to mnie właśnie, gdyż jestem z natury bardzo sceptycznym i krytycznym i nie tak łatwo biorę świecący żeton za dobrą monetę. Nadto miałem wszelkie powody nie przypisywać pani nic dobrego. Zapewnie sobie pani przypomina, żeś mnie spowodowała do robienia interesów giełdowych, które — jakby to powiedzieć — niezupełnie odpowiadały tradycjom starego domu bankowego Ulbrich.“

Przerwała mu. „Nudzisz mnie pan! Wiesz pan bardzo dobrze, że zupełnie się na interesach nie rozumiem. Nudziłeś mnie pan zupełnie tak samo jak obecnie, sporo lat temu w Hamburgu jałowemi wykładami swemi o rozmaitych kombinacjach i możliwościach, zmuszał mnie pan, zawsze poprostu do tego bym się przysłuchiwała. Przy tej sposobności powiedziałam panu, że mi się zapatrywania pańskie

na moralność handlową wydają niezmiernie dziecinnymi, że każdy bogacz według mego uczucia, pieniądze swe skradł lub zrabował, że każdy jest szarlatanem, lub szachrajem, lub złodziejem. Jednym z nich. I że to zupełnie w porządku; bo tylko w ten sposób można ostatecznie pieniądze drugich zagarnąć do swej własnej kieszeni. Tylko — powiedziałam — powinien człowiek taki być przynajmniej uczciwym wobec samego siebie i nie starać się, jak to pan zawsze czyniłeś, okłamywać samego siebie i po każdym świeżo wycyganionym miljonie jęczyć na świat cały, niby ucieleśniony wyrzut sumienia. To wszystko było bardzo teoretycznem, nie miałem pojęcia, jakiego rodzaju interesy pan robił, i z całą pewnością nigdy nie zarobiłam ani feniga przez pana.“

Randolf Ulbing kiwnął głową. „Rzecz się miała zupełnie tak, jak pani mówi! Ale myślałem bardzo długo nad tem, co mi pani powiedziała i doszedłem do przekonania, że pani miała słuszość. Dziś jestem bardziej niż kiedykolwiek tego zdania, zwłaszcza po doświadczeniach lat ostatnich. Postępowałem jak każdy inny spekulant i jestem dziś o wiele miljonów bogatszym, aniżeli wówczas.“

„Powinien mi pan być wdzięcznym“, rzekła pani Stuyvesant.

„Nie jestem pani wdzięcznym“, odparł. „Sława starego domu Ulbingów, założonego przez pradziadka mego, była w świecie handlowym bez skazy, bardziej niż rozgłos jakiegokolwiek innej firmy. Była nią aż do dnia — w którym pani mnie oświeciła. Proszę się poinformować, jaki walor dziś ma to imię. Pomnożyłem kapitał interesu dziesięciokrotnie — nie czyniłem nic, czegoby wielu innych również nie czyniło — ale też bardzo dużo, czegoby przodkowie moi nie byli uczynili, tak samo jak i ja dawniej. Za wszystkie te machinacje potrafię bardzo dobrze odpowiedzieć przed sądem — i przed samym sobą, gdy siedzę w biurze. Ale nie poradzę że ogarnia mnie obrzydzenie, skoro otwieram gazetę; z każdego wiersza wygląda nędza świata, którą tak mądrze wykorzystują dla siebie. Usłuchałem rady pani — która mnie unieszczęśliwia na całe życie.“

„Nie mam ochoty“, rzekła kobieta, „słuchać dalej jeremiad pańskich! To com panu powiedziała, nie było mądrością moją specjalnie — drukowano i mówiono to samo stotysięcy razy. To na pana nie robiło wrażenia! A że, gdy pan to usłyszał z moich ust, nagle to taki silny wpływ na pana wywarło, to pańska wina!“

„Nie wypieram się jej“, odparł bankier. „A jednak był to jedynie wpływ pani. To, co moja

niezachwiana hamburska uczciwość zawsze instynktownie odpychała od siebie — to mi się w ustach pani wydawało jedyną ewangielją. I dlatego, łaskawa pani, jestto zarówno winą pani jak i moją!“

Pani Marja rzuciła papieros swój daleko od siebie. „Głos jej brzmiał ostro i jasno. „Panie Ulbing“, rzekła, „nie jesteś pan pięknym mężczyzną, wiesz pan sam o tem! Patrząc na pana nie należy do przyjemności! — Czy się pan sam golisz? Otóż nie mogę właściwie pojąć, jak pan możesz co rana stawać z brzytwą w ręku przed lustrem i oprzeć się przytem pokusie, by sobie przeciąć gardło! Wówczas skończyłyby się wszelkie wyrzuty sumienia!“

Doktór Erhart powstrzymał przelotny uśmiech. „Zostawmy osobiste sprawy!“, rzekł. „Pan Randolf Ulbing jest bardziej gentlemanem aniżeli pani przypuszczasz, pani Stuyvesant. To, co ma pani do powiedzenia, jest wcale pochlebne dla pani!“

Bankier wziął do ręki parę aktów. „Stwierdziłem, szanowna pani — a możesz mi pani wierzyć, że bronilem się przed tem rękoma i nogami — że jesteś pani jedną z najdobrodusznieszych, najlepszych, najprzystwoitszych osób, jakie kiedykolwiek żyły. Pani Marja Stuyvesant nie jest zdolną do jakiegokolwiek niskiego lub nikczemnego czynu. Przesadna jej wzruszająca, miłość do wszel-

kiego rodzaju zwierząt znaną jest każdemu, kto się kiedykolwiek z nią zetknął. Jest też zupełnie pewnem, że pani więcej niż trzy ćwierci niezbyt bogatych dochodów swych rozdarowywała lub rozpożyczała, nie upominając się nigdy u żadnego z dłużników. Pani Stuyvesant popierała rok w rok młodych artystów i studentów — i czyniła to w takiej formie, że nikt z nich nie uczuwał nigdy darów jej jako jałmużny. Podczas lat wojennych i później w sposób ten poświęcający —“

Popielata dama uderzyła rękawiczkami o kolano. „Niech pan przestanie!“, zawołała. „O ile mi już było niesympatycznym, że mnie panowie tu przesłuchujecie jako zbrodniarkę, o tyle jest mi z pewnością jeszcze nieprzyjemniej, a nawet wprost nieznośnem, jeśli pan chcesz wyliczać pojedynczo drobne me enoty. Proszę panów usilnie zaniechać tego.“

Bankier Ulbing zawahał się spojrział na sąsiadów.

„Panie Loewenstein!“, rzekł dr. Erhart. „Pan przyjąłeś przewodnictwo!?“

Adwokat ocknął się. Uchwycił znowu butelkę hrabiego, napełnił szklanekę swą i wychylił ją krótkimi łykami. „Proszę o akty“, mruknął. Pan Ayx podał mu je.

„Sądę“, ciągnął dalej, „że panowie się zgadzają na to, żeby zadość uczynić życzeniom pani Stuyvesant. Chciałbym tylko dla usprawiedliwienia naszego wspomnieć, pani Marjo, żeśmy się starali zebrać i w tym kierunku jaknajobfitszy materiał. Wiemy przytem bardzo dobrze, że wszystko, co dobre, zapomina się bardzo prędko, podczas gdy ujemne urasta i olbrzymieje. Jesteśmy wszyscy zupełnie o tem przekonani, żeśmy się dowiedzieli tylko o małej części tego, co pani w życiu czyniła dobrego. Stwierdziliśmy, żeś pani conajmniej w trzech wypadkach życie swe naraziła, by uratować życie drugich — raz nawet dla psa. — Niejednokrotnie dałaś pani dowody odwagi osobistej, która byłaby zaszczyt przyniosła najwaleczniejszym szturmującym żołnierzom — okazywałaś pani tuziny razy zupełnie tę samą dumną odwagę, tę samą wysoką pogardę dla wszystkiego, co się pani sprzeciwiało. Nigdyś pani jakimukolwiek człowiekowi czegoś złego nie zapamiętała; nie znam — mogę śmiało powiedzieć — nie znamy kobiety szlachetniejszej —“

„Frydel!“, rzekła pani Stuyvesant. Brzmiało to jak zarzut.

„Chwileczkę tylko!“, ciągnął dalej. „Muszę to powiedzieć, bo to po wielkiej części tłumaczy ogromny wpływ, jaki pani możesz wywrzeć. Pani

Marjo Stuyvesant, uchodzi pani słusznie za najelegantszą kobietę stulecia; ma pani więcej gustu — i to w każdym kierunku — aniżeli najlepsi artyści naszego czasu. Niezwykłą zdolność pani władania piórem i pędzlem oddawna oceniła nowoczesna historia sztuki i literatury. Wdziękowi i wrodzonemu powabowi pani z pewnością nikt tak łatwo oprzeć się nie potrafił. O proszę, niech pani mi nie przerywa — zaraz skończę, aczkolwiek mógłbym w ten sposób opiewać chwałę pani godzinami. O jednym tylko muszę jeszcze wspomnieć, gdyż jest to czemś, co nawet dla wielu z nas stanowiło niespodziankę. Mianowicie fakt, że pani — pani Marjo Stuyvesant — pani, która brnęłaś przez wszystkie bagna grzechów i występków, posiadasz mimoto najczystsza duszę, jaka dziś żyje w jakiegokolwiek istocie ludzkiej.“

„Amen!“, zakończyła kobieta. „A na tem, mam nadzieję, rozdział ten zakończony?“

„Na życzenie pani!“, ciągnął dalej adwokat. „Ale przyznasz pani, zanim rozpoczniemy drugi rozdział, że studjowaliśmy i ten równie gruntownie i że oddaliśmy pani całą sprawiedliwość. Zresztą wszystko to, tak jak się obecnie nam przedstawia, chyba wcale za panią nie przemawia — służy ostatecznie tylko do wytłumaczenia niebywalej zagadki

istoty pani. Panie dell' Greco, zechciej pan przeczytać nam niektóre z wyciągów, jakieś pan tymi dniami poczynił z aktów naszych — trwałoby to zbyt długo, gdybyśmy chcieli tu rekapitulować takowe w całości.“

Porucznik marynarki, który siedział na drugim końcu zielonego stołu, zaczął:

„Między uczniami i uczenicami akademji sztuk pięknych w Monachjum wybuchł w roku 1910 rodzaj epidemji — młodzi ludzie zaczęli tuzinami używać eteru. Cały szereg ich skończył nędznie —“

„Przepraszam!“, przerwał Erwin Erhart Tryjesteńczyka. Chciałbym wpleść tu kilka pytań — czy mogę się spodziewać, że pani mi na nie odpowie, pani Stuyvesant?“

„I owszem“, odparła kobieta, kiwając głową.

„Co się tyczy tej epidemji — to fakt ten pani chyba jest znanym. Mówią, że pani była przyczyną jej?“

Pani Marja ruszyła ramionami. „Pijałam przy sposobności eter, tak samo jak — przy sposobności — używałam wszelkich innych trucizn oszłamiających. Jestto bardzo prawdopodobnem, że było przytem kilku młodych akademików. Bardzo możliwe, że potem sami używali eteru i innych do tego przyzwyczaili.“

„W aktach naszych“ — ciągnął dalej inżynier — mamy cały szereg takich wypadków — i to, jak pani powiada, dotyczących się niemal wszystkich trucizn oszałamiających. Pani, pani Stuyvesant, nie byłaś nigdy alkoholistką, ani morfinistką, ani kokainistką, nie przyzwyczyłaś się pani nigdy do muskariny, meskaliny, opjum, heroiny — ani do czegokolwiek innego. Lecz liczne osoby, które widziały panią używającą trucizn tych, które słyszały jak opowiadano o tem, lub tylko w książkach pani o tem czytały, spróbowały tego, i u bardzo wielu z nich przeszło to w nałóg. Niektóre z nich zniszczyły się kompletnie, umarły w zakładach, skończyły samobójstwem. Co dla pani stanowiło chwilową sensację, co pani może sprawiło rozkoszną godzinę, to dla wielu innych stało się powolną śmiercią. W jaki sposób zaczął pan używać opium, panie hrabio?

„Przez książkę pani“, odparł hrabia Thun spokojnie. „Nie żałuję tego. Wiem, że już ledwo jestem człowiekiem w zwykłym tego słowa znaczeniu. Wiem, że pójdę drogą opjum aż do końca — i wiem jaki gorzki koniec mnie czeka. Z tem wszystkim: nie żałuję tego — o ile to się tyczy mnie osobiście, nie czynię jej zarzutu.“

Popielata dama spojrzała nań, głos jej brzmiał prawie wdzięcznie: „Co pan palisz, hrabio?“

Hrabia Thun westchnął: „Istne nieszczęście — mogę dostać tylko indyjskie preparaty — i to o cenach niedostępnych.“

„Domyślałam się“, rzekła pani Marja, „dlatego się pytam. Mam tu najlepsze chińskie opjum — pošę je panu do pokoju, hrabio!“ Przerwała, śmiejąc się. „Lub czy to może próba przekupienia sędziego?“

„Nie jesteśmy sędziami pani“, rzekł dr. Loewenstein. „Istnieje tylko jeden człowiek, któremu wolno sądzić panią — a imię jego usłyszysz pani wnet! Proszę czytać dalej.“

Pan dell' Greco wziął w ręce dalsze kartki. „Oto wycinki z gazet i tygodników, z broszur i książek — które wszystkie traktują o sztuce pani Marji Stuyvesant. Są to warjacje na temat ten w wszystkich tonacjach i barwach, w jednym punkcie zaś wszystkie się zgadzają: mianowicie, że podkreślają zdumiewający wpływ sztuki tej. I w tem też, że wpływ ten jest najfatalniejszy, jaki kiedykolwiek artysta wywierał. W ciągu długich pokoleń, piszą, nie będzie można oprzeć się tej truciznie! Najpowabniejsza strona sztuki tej tkwi w tem, że lekką stopą wkracza w świat, który, by użyć słów Szylera, bogowie łaskawie okrywają ciemnością i grozą, i opisuje go w sposób bynajmniej nie odstrasżający. Wszystko jest naturą, nic nie jest nienaturalnem — oto dogmat

— i dlatego niema nic anormalnego, przewrotnego, przeciwnego naturze. To wszystko może być bardzo pięknem — i w istocie bywa niem o wiele częściej, aniżeli rzeczy normalne, codzienne. Lecz skoro jest pięknem — jest też i dobrem. Nie można zaprzeczyć, że w książkach pani Stuyvesant, jakoteż w rysunkach jej wszystko to istotnie nacechowane jest wysoką pięknnością — a pięknność ta jest tak uchwytną, że nie tak łatwo jej się oprzeć można. W ten sposób tedy publiczność wszystkich krajów, a zwłaszcza młodzież pije sztukę tę — pije ją chętnie, odwraca się z obrzydzeniem od normalnego, codziennego życia i szuka błędnych niecodzienności. Niestety przewrotność nie jest piękną sama przez się, lecz jedynie tylko w czarownym płaszczu sztuki tej; a tym wprawdzie dysponuje artystka z Bożej łaski, lecz nigdy masa uwiedzionych. Ci biegną za błędnem światelkiem, lecą w radosnem uniesieniu do bagna, myślą, że znajdą piękno i giną w końcu w błocie i brudzie. Każdy dyrektor szkolny, każdy profesor wszechnicy, każdy sędzia może świadczyć o rozkładających skutkach sztuki tej, o ile sam może nie zaraził się nią gruntownie.“

„Pani Stuyvesant“, zaczął dr. Erhart nanowo,
„czy pani sądzisz, że krytyk ten ma rację?“

Odpowiedziała: „Nie czytuję książek swych i nie krytykuję ich. Piszę je — to wszystko. Tak jak rysuję kartony swe. Czy mam może inaczej rysować lub inaczej pisać? Żądajcie, by jeź rodził hipopotamy, lub by struś kładł kawior!“

Erwin Erhart pomyślał: „Bajeczna kobieta —“ „Proszę kontynuować“, zwrócił się adwokat do pana dell' Greco. Porucznik marynarki wrócił na nowo do aktów swych. „Mamy rozmaite wyczerpujące sprawozdania o tak zwanych balach à la Stuyvesant. Rozpoczęły się przed wojną jeszcze, stały się jednak wielką modą w całej Europie dopiero w ostatnich latach. Z relacji naszych są szczególnie zajmujące jedna z Zurychu, druga z Sztokholmu. Wszyscy uczestnicy zjawili się w dziwacznych kostjumach kartonów czarno-białych, w których tak zwane ‚szaty wabiące‘ spotęgowane są do najwyższego wyrafinowania.

„Czy zechciałaby mi pani powiedzieć“, zapytał tu inżynier Erhart, „w jaki sposób pani właściwie doszła do tego? W kartonach swych, pani Stuyvesant, tworzyła pani coraz nowe warjacje na ten sam temat: ubrać człowieka tak, by wywierał na drugich fascynujący pociąg seksualny. Posiadam wszystkie rysunki i widziałem bardzo wiele kostjumów robionych według ich wzoru. Mimo najwyższego

uznania dla sztuki tej, nie ulega wątpliwości, że dziwne łaskotanie, jakie wywołują, jest tak silnem, że nawet kamień brukowy wydałby z siebie westchnienie miłosne“.

Pani Marja zapaliła świeży papieros. „W takim razie, kochany panie, czuję chyba mniej aniżeli kamień brukowy. Ale to może dlatego, że wiem, co działa — i dlaczego działa. Widzisz pan, cała historia kostjumów jest przecież pełną szat wabiących, jak to uczeni nazywają — lub przynajmniej prób tego rodzaju. Jeno wszystkie suknie przez lat tysiące układane były przez fuszerów, przez krawców, modystki, dyletantów, którzy pojęcia o tem nie mieli. Najlepiej jeszcze rozumieli się na tem królowie, książęta i generałowie, robiąc z pięknych poręczników swych wygalonowane i wabiące laleczki. Jest to zadziwiającem, moi panowie, jak wszyscy mędracy świata chodzą z głowami nabitemi głęboką uczonością — a przytem nie wiedzą najprostszej rzeczy. Ubranie, wielce szanowni panowie, składające się, czy to z piór lub futra, czy z pantalonów lub spódnic, służy stworzeniom tego samego rodzaju dla ochrony przeciw niepogodzie. Piękne ubranie atoli ma tylko ten jeden cel, by oko istoty drugiej płci wprawić w upojenie miłosne. Dlatego paw ma lśniący ogon, a lew dumną grzywę. Kto nie widzi, że natura sama

nas tego uczy — ten się ciemnym urodził. Że kostjomy me działają seksualnie przyciągająco, to pewne — zupełnie tak samo jak strój ptaka rajskiego lub motyka cytrynowego. I chciałabym wiedzieć, ktoby zaprzeczył, że pan, hrabio Thun, w oczach młodych kobiet o wiele lepiej wyglądałaś, gdyś jeszcze nosił mundur houwedów.

Nikt nie odpowiadał; Trjesteńczyk czytał tedy dalej. „Bale te wszędzie zamieniły się w najbezwstydniejsze orgje. Oslawione bale ‚quat‘ z Arts w Paryżu można o tyle nazwać niewinnymi w porównaniu z balami Stuyvesant, że tam mimo całej otwartej bezwstydności przynajmniej obie płci wzajemnie się znajdywały, podczas gdy tu szło się za wszystkimi przewrotnemi zachciankami. Jest zupełnie pewnem, że żaden wiek nie był nacechowany bezgraniczniejszem rozluźnieniem obyczajów, aniżeli nasz; a winę tego stanu —“

Pani Marja Stuyvesant wybuchła głośnym śmiechem. „— mnie przypisać należy! — O, wy sędziowie moralni! Nasz wiek żyje jawniejszem, głośniejszem życiem publicznem, oto wszystko! Czy jest może niemoralniejszy? Mój Boże, jest zupełnie tak samo moralny i niemoralny, jak wszystkie czasy. Czemżeż jest moralność w sensie seksualnym? Czy może to, co proste, co naturalne? W takim razie to

już chyba cała natura jest — nienaturalną! Bo życie pćciowe całego świata zwierzęcego jest pełnem tysiącznych dzikich kombinacji, które pocziwemu człowiekowi wydawać się muszą nader anormalnemi i przewrotnemi. Ten zaś świat zwierzęcy musi się skromnie ukrywać przed arcybogatem, coraz to inaczej się objawiającem życiem miłosnem świata roślinnego! Zagłądniście tylko w głąb tej natury — kto twierdzi, że ona chociaż w jednym punkcie jest normalna, prosta i w waszym sensie naturalna, ten jest świadomym kłamecą lub kompletnym idjotą! Lecz my ludzie — tak to już jest, — ostatecznie także należymy do natury!“

„Pani nas źle rozumie“, oświadczył Erwin Erhart. „Nikt z nas nie cierpi na napady moralności i nikt z nas nie myśli o tem, by czynić pani wyrzuty w tym kierunku. Gdyby pani była wysłuchała do końca pana dell' Greco, byłaby pani odrazu spostrzegła, o co nam idzie. Owe bale — z którymi się łączyły tysiące zabaw i towarzystw we wszystkich miastach — same w sobie nie mają większej doniosłości, niż jakiegokolwiek inne zebrania tego rodzaju, które zawsze się odbywały. Ważnem jest tylko ich odbywanie się. Ważnem jest, że młodzi ludzie gromadnie rzucali pracę swę i myśleli tylko o jednym: by się wyszumieć w sensie pani. Ważnem

jest, że normy, które przez wieki stanowiły porządek społeczny — czy w każdym punkcie słusznie czy niesłusznie, o tem tu nie mówimy — wszędzie się przełamuje z szyderyczym śmiechem. Ten porządek nakładał silne więzy pewnym instyktom — pani, pani Stuyvesant, rozdarłaś te więzy. Nie możemy tu dyskutować z panią całymi dniami — możemy pani tylko przedłożyć pojedyncze przykłady — lecz przykłady te są typowe i każdy z nich możnaby pomnożyć tysiąckrotnie! Panie pułkowniku, zechciej pan opowiedzieć pani historję swą, która chyba będzie jej jeszcze nieznaną.“

Pułkownik Lionel Thursby podniósł się; palce jego uchwyciły flaszkę whisky, stojącą przed nim i kurezowo ją oplotły.

„Pani sobie przypomina, pani Stuyvesant, że pani w roku 1913 miałaś odczyt w Londynie. Podobała mi się pani wtedy i od lat już jeździłem za panią po świecie. Recytowałaś pani na zaproszenie klubu Lotos niektóre z swych utworów; równocześnie w salach klubu urządzono wystawę rysunków i akwafortów pani. Przyprowadziłem na ten wieczór siostrę mą i obu mych braci, którzy oddawna już drwili z słabości mej dla pani i byli ciekawi poznać panią osobiście. Tego wieczora czytałaś pani historję, w której dwóch braci kochało się

w sobie — pani sobie przypominasz, który z utworów jej mam na myśli. Well, to co pani tam poruszyła, było właśnie tem, co się działo z braćmi mymi. Pani zapewne nie wpoilaś w duszy ich tej nieszczęsnej miłości, lecz dzięki pani miłość ta — która inaczejby nigdy nie była przekroczyła granic niewinnego przywiązania braterskiego — rozkwitła bujnie. Nauczyłaś pani braci mych, że wszystko, co ma korzenie, ma też prawo kwitnąć i nosić owoce; przez panią ci dwaj zrozumieli dopiero, co właściwie w nich żyło. Potem przyszło, co nadejść musiało — ci dwaj poddali się silnemu uczuciu swemu. Ja już po sześciu tygodniach o tem wiedziałam — po sześciu miesiącach wiedziała o tem służba — po roku wiedział o tem cały Londyn. Gdy bracia moi — obaj oficerowie terytorjalni — przy wybuchu wojny zgłosili się do pułku swego, przyjęto ich łodowato. Szukano wymówek — wreszcie odprawiono ich krótko. I obaj zastrzelili się — razem, tej samej nocy!“

„To bardzo smutne“, rzekła pani Stuyvesant. „Nie widziałam nawet tych panów, pułkownika; zapomniałeś pan przedstawić mi ich.“

„Ale widziałaś pani siostrę moją, nieprawdaż?“ krzyknął pułkownik. „Przyszła do pani po odczycie.

Potem nazajutrz do hotelu. Wyjechała z panią razem, gdyż pani opuściła Londyn.“

Popielata dama kiwnęła głową. „Tak, tak było. Jeździła za mną, tak jak pan to czyniłeś, pułkowniku. Narzucała mi się zupełnie tak samo jak pan z uczuciami swemi, z których przy najlepszej chęci skorzystać nie mogłam — tak samo jak z pańskich. Żałuję, pułkowniku, lecz jestem tylko słabą jednostką, niech pan o tem nie zapomina! Jak pan może żądać odemnie, bym się oddawała każdemu człowiekowi, mężczyźnie czy kobiecie — tylko dlatego, że mnie pożądamy?!“

„Siostra ma wróciła do Londynu“, rzekł pułkownik, „dwa tygodnie po śmierci braci mych. Poszła za nimi — znaleziono ją zatrutą z fotografią pani w ręku“.

„Ale pan, panie pułkowniku, pan żyjesz jeszcze!“, rzekła Marja Stuyvesant. „Żyjesz po to, by mnie pociągnąć do odpowiedzialności za coś, za co pan nigdy byś nie był znalazł najmniejszego wyrzutu, gdyby się było przydarzyło komu innemu.“

Pułkownik krzyknął: „Żyję — bo śmierć mnie nie chciała! Kochałem panią od tego dnia, w którym panią ujrzałem. Jestem z panią związany przez trzech uśmierconych — w tych długich latach nigdy nie miałem innej myśli jak tę jedną: Marja Stuyvesant!

Nienawidzę pani — nienawidzę pani — a wiem przytem bardzo dobrze — że to miłość, tak jak było zawsze! I to nigdy się nie skończy — aż — aż —“

Zaczął się jąkać; potem nagle usiadł. Otarł jedwabną chusteczką pot spływający z czoła.

Doktór Erhart odezwał się prędko: „Czy wolno zapytać, pani Stuyvesant, ile ludzi zginęło z podobnych powodów jak miss Thursby? Lub ile pani zna takich wypadków? Co do nas, udało się nam stwierdzić liczbę, która —“

Pani Marja przerwała mu: „Dołącz pan zera, jeśli pana to bawi! Nie sędzę, by rzecz się przez to zmieniła.“

Doktor Lowewenstein wychylał jedną szklanę po drugiej. „Ale my, Marjo Stuyvesant“, zawołał, „my! Wypadek jako taki nic nie oznacza — ale wymownym jest fakt, że jest typowym. A że mówimy o nas — o panach, którzy siedzą naprzeciw pani — i że to, co się właśnie ma przed oczyma najłatwiej uchwycić się daje, będziemy mówili o wypadkach, które nas samych dotyczą. Przyrzekliśmy sobie wzajemnie, że nie będziemy szanować siebie samych — widziałaś pani, jak otwarcie panowie ci mówili. Co się tyczy pana dell' Greco, to i jemu się zdaje, że pani, pani Marjo, masz na sumieniu stracone jego życie. Pani wiesz, że młoda żona jego była nadzwyczajnie piękna.“

czajną pięknością i że kochał ją nadewszystko. Kobieta ta jest dziś wielką, międzynarodową kokotą, która jeździ od jednego miejsca kąpielowego do drugiego i należy do każdego, który jej zapłacić może. Przyczyną tego jest jedna jedyna mała uwaga pani, rzucona przy sposobności.

„Czy wolno spytać: która?“, rzekła popielata dama.

„Dell' Grecowie poznali panią dwa lata temu w Portorose; oboje byli wielkimi wielbicielemi sztuki pani i oczywiście bardzo radzi, że mogli się zbliżyć do pani. Izabella dell' Greco bardzo się do pani przywiązała — każde słowo pani wydawało jej się jakoby ewangelija. Rysowałaś pani kilkakrotnie pana dell' Greco, jakoteż panią Izabelle — przy takiej sposobności opuściłaś raz album z szkicami na kolana i powiedziałaś: „Muszę włożyć jakiś inny rys!“ Na zapytanie pani Izabelli odrzekłaś pani: „Mój Boże, ma pyszną figurę! To przesłiczny chłopiec! Ale jest w nim coś straszliwie nudnego — powiedz pani, pani Izabello, czy nie nudzi panią czasami okropnie?“

„Ależ na Boga, panowie“, zawołała pani Marja, „czy nie miałam słuszności? Przypatrzcież się pocziwemu Hansowi — przy całej urodzie swej jest śmiertelnie nudnym!“

Pan dell' Greco dyszał: „Łaskawa pani — łaskawa pani—! Może pani masz rację — z pewnością jest tak, jak pani mówisz! Ale żona moja spostrzegła to po raz pierwszy — od tej chwili nudziłem ją — jak pani mówisz: śmiertelnie! Opuściła mnie — znalazła innego — może i ten się jej wkrótce znudził. A potem tak się stało —“

„Czy to też typowe?“, zapytała pani Marja.

Adwokat kiwnął głową. „Jest typowe o tyle, że coś, co pani wypowie, ot tak sobie, zupełnie niewinnie — może w innych mózgach nabrać niepomiernej doniosłości. Spójrz pani, pani Marjo, na białe włosy sąsiada mego, młodego barona Ayxa. Dostał je w ciągu niewielu miesięcy — nie bardzo romantycznie, nie przez jakieś straszne zdarzenie. Lecz z tem wszystkim przez panią, mimo iż panią widzi po raz pierwszy w życiu. Przed kilku laty grałaś pani, pani Marjo, pewnego wieczora w kasynie w San Sebastian! Przy tej sposobności przegrała pani wtedy dwadzieścia tysięcy pezetów. Poszła pani potem do kawiarni z kilkoma paniami i panami, którzy tego wieczora także nieszczęśliwą mieli rękę. Podczas gdy inni byli w dość złym humorze, pani przeciwnie była nadzwyczaj wesołą. Zapłaciła pani za kawę stofrankówką, którą pani znalazła przypadkiem jeszcze w swej torebce i dała pani resztę

kelnerowi jako napiwek. Śmiała się pani z kwaśnych min tamtych i filizofowała pani, że właściwy powab wysokiej gry hazardowej w tem tylko polega, że pieniądze żadnej więcej nie mają wartości, że się zbiera lub oddaje tylko żółte, czerwone, niebieskie i białe marki, i że człowiek po krótkim czasie czuje się wyniosłym ponad wszelkie pojęcie wartości pieniędzy. I że się doznaje królewskiego uczucia, może bardziej jeszcze wtedy, gdy się wszystko traci, aniżeli gdy się wygrywa. Zdawało się pewnemu nieznanemu panu, siedzącemu przy stole obok, i będącemu przypadkowo świadkiem rozmowy tej, że to zupełnie słuszne, przynajmniej o ile szło o osobę pani. Ów pan, który sam nigdy nie grywał, opowiadał o tem po latach przyjacielowi swemu, właśnie baronowi Ayx. Młody malarz — który zresztą również aż do owego czasu nigdy nie myślał o tem, by dotknąć się karty lub spróbować szczęścia w jakiegokolwiek innej grze, czuł się dziwnie poruszonym przy tej obojętnej z pewnością rozmowie. Poczul dziwną ochotę do grania, opierał się jej przez całe tygodnie, wreszcie usiadł raz przy pewnej sposobności w klubie do stołu bakkaratowego. Od tej chwili był przykuty do tego stołu — przegrał w ciągu pół roku całą fortunę swą, a i majątek starej swej matki. Sensacji, którą gra pani sprawia, niestety nigdy nie zaznał —

lecz białe włosy jego będą mu panią przypominały przez całe życie.“

Marja Stuyvesant przypatrywała się młodemu malarzowi dość uważnie. „Znajduję, że mu z niemi doskonale do twarzy“, zauważyła.

Adwokat Loewenstein przerzucał akty. „Inna karta!“ zaczął nanowo. „Pani odczuwałaś od czasu do czasu ochotę do wystąpienia na scenie, pani Marjo. W własnych sztukach, które pani też sama inscenizowała. Była to za każdym razem mała sensacja i zapewnione powodzenie. Nie tyle ze względu na nadzwyczajne jakieś uzdolnienie aktorskie, lecz wyłącznie wskutek wybitnej indywidualności pani, dzięki której nawet jawne braki techniczne nie działały jak błędy, lecz szczególną stanowiły atrakcję.“

„Czy to może także było zbrodnią?“, zapytała Marja Stuyvesant.

„Równie mało jak wszystko inne“, oświadczył adwokat. „Jest tylko faktem, że przykład pani popchnął na scenę moc młodych ludzi, którzy przedtem nigdy o tem nie myśleli. Ci wszyscy myśleli, że im się uda, zastąpić brak talentu i wykszolenia przez indywidualność — sądzili, że można wprost z ulicy iść na scenę i zdobyć powodzenie. Dyrektorowie teatrów nie wiedzą już, jak się

ochronić od tych wszystkich młodych ludzi, którzy cierpią na „stuyvesantyzm“, jak to zowią w świecie teatralnym. O rzeczywistych indywidualnościach naturalnie prawie nigdy mowy nie ma — a koniec piosenki jest ten, że wielka armja prostytutki znowu wzbogaciła się o tylu rekrutów.

Adwokat wziął inną kartkę i ciągnął dalej, nie zatrzymując się: „Tu oto wyliczono szereg wypadków, które przy całej zresztą różnorodności mają to wspólne, że idzie o zakłady bezsensowe. W jednej z powieści pani występuje człowiek, który ma manję wmawiania sobie, że potrafi wszystko i na to konto zakłada się o najniemożliwsze rzeczy. W człowieku tym pani widocznie samą siebie po części sportretowała, gdyż wiadomo, że pani sama chętnie takie zakłady zawierała — i najczęściej nawet wygrywała. Byłem sam przytem, jak się pani raz założyła, że zawiesi na wieży tumu kolońskiego małą chorągiewkę. Przygotowała się pani dobrze, wytrenowała się pod kierunkiem najlepszego fachowca wpierw na szeregu lżejszych obiektów — i ostatecznie wykonałaś zakład swój. W Rzymie założyła się pani raz, że przez trzy miesiące będzie nosiła ubranie męskie, i że przytem żyć będzie tak samo jak zawsze. Udało się to pani. Bywałaś w towarzystwach, w teatrach, na koncertach i w kościołach

— i znowu wygrałaś zakład. Bohater powieści pani założył się — ale pani nie potrzebuje tego przecież przypominać. Otóż ci ludzie, których nazwiska tu są zapisane, chcieli naśladować panią, upatrywali w tem zaszczyt i sławę, by naśladować szaleństwa pani. Niejednemu może się udało — lecz tym tu nie. Mam przed sobą czternaście nazwisk — czteru śmiałość swoją opłaciło życiem. Pewna młoda kobieta znajduje się od lat w domu obłąkanych. Dwóch stało się kalekami na całe życie. Inni wprawdzie dziś już wrócili do zdrowia — lecz jednak manję zakładania odpokutowali długą chorobą. Adwokat przerwał, wychylił szklankę swę i uchwycił inną kartkę.

„Tu znów, pani Marjo, „zapisane są wypadki —“

Lecz popielata dama przerwała mu. „Dość tego“, rzekła spokojnie. „Nie zaprzeczam — wszystko odbyło się zapewne tak, jakżeście stwierdzili. Gdy się zastanawiam, widzę, że mogłabym panom opowiedzieć jeszcze niejedno, czego nie wiecie. Wczoraj dopiero otrzymałam list z Amsterdamu od pewnego lekarza, który obsypuje mnie najcięższymi zarzutami. Widzicie panowie, broniłam tam gdzieś dawniej tezy, że jestto zbrodnia, utrzymywać przy życiu nieuleczalnie umysłowo chorych, idjotyczne dzieci, zupełne kaleki i t. p. nieszczę-

śliwców. Społeczeństwo ma nie tylko prawo, ale wprost obowiązek zakończyć tego rodzaju możliwości życia. Wiecie wszyscy, że żądanie to podtrzymywane jest od lat wielu przez naukowe powagi wszystkich narodów. A lekarzowi amsterdamskiemu było to naturalnie tak samo wiadomo, jak panom. Otóż dobrze — ów lekarz miał siedmioletnią, idjotyczną córeczkę, która życie jego i żony zmieniła w prawdziwe piekło. Wreszcie zdecydował się w porozumieniu z żoną zakończyć mękę tę codzienną: ~~otr~~truł dziecko. Żona jego jednak śmiercią tą, która mogłaby być dla niej zbawieniem — tak się przejęła, że prawdopodobnie w napadzie całkowitego rozstroju nerwowego rzuciła się z okna. Lekarz zaś, złamany losem żony, sam oddał się w ręce sprawiedliwości. Zaresztowano go bezzwłocznie. Z więzienia przesyła mi list ten: ja, ja jedynie, pisze, ponoszę winę całego nieszczęścia. Bo jedynie moja obrona owej znanej tezy, obrona, która przypadkiem dostała się do rąk jego, popchnęła go ostatecznie do wykonania swego zamiaru. Gdyby nie ja, żona jego i dziecko dziśby jeszcze żyły — gdyby nie ja, nie siedziałby w więzieniu.

Otworzyła torebkę swą, wyjęła list i rzuciła go na stół. „Oto panowie, ów list. Nie odpowiem nań — proszę więc dołączyć go do aktów swych,

jeśli chcecie. Jestto, o ile mi wiadomo, ostatnie zdarzenie, które dla panów wchodzi w rachubę, i zapewne ładna ilustracja dla hipotez panów. Gdybyście panowie chcieli więcej, jestem gotowa, lecz sądzę, że mamy więcej niż dosyć i możemy zakończyć. Czy zechcielibyście panowie powiedzieć mi raz, czego właściwie żądacie odemnie?“

Adwokat dr. Loewenstein nie spieszył się: Zebrał papiery rozrzucone po stole na prawo i na lewo, uporządkował je i włożył je starannie do mapy swej. Gdy się nikt nie odezwał, zapytał wreszcie: „Czy ktoś z panów chciałby jeszcze zabrać głos?“

Zapanowało milczenie:

Dr. Loewenstein mówił dalej: „Sądzę tedy, że możemy zakończyć posiedzenie. Co do materiału faktycznego, z żadnej strony nie podniesiono zarzutów; można go tedy uważać za całkowicie stwierdzony. Przypuszczaliśmy to już z góry i rozdaliśmy wskutek tego role. Podczas gdy ja miałem kierować rozprawą, a poszczególni panowie, stosownie do potrzeby, składać mieli zeznania swe jako świadkowie, powierzyliśmy panu doktorowi Erhardtowi funkcję prokuratora, by jako zastępca społeczeństwa — ba, nawet ludzkości całej — zająć stanowisko wobec pani, pani Marjo. Wybraliśmy z umysłu właśnie jego, bo jest on jedy-

nym z nas siedmiu, który nie ma specjalnego powodu, by czuć żal do pani. Doktor Erhardt nigdy nie miał zaszczytu spotkania pani, nigdy nie był w żadnych z panią relacjach — z całą pewnością nie jest uprzedzony. Czy mógłbym prosić, panie doktorze?“

Doktor Erhardt zaczął natychmiast:

„Pani Stuyvesant, odebrałem przed rokiem wspomniany już list od pułkownika Thursby właśnie w chwili, gdy księgarz przysłał mi najnowszą mapę pani do domu; w samej rzeczy byłem właśnie zajęty przeglądaniem rysunków pani. Pułkownik Thursby jest dawnym przyjacielem mym z czasów studenckich — wiedziałem, że człowiek ten niebyłby nigdy napisał takiego listu, gdyby był znalazł inne wyjście. Doniósł mi wszystko to, co pani dziś wieczorem słyszała z ust jego — i dodał opis stanu duszy swej, który wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. On to dał impuls: cośkolwiek musi się stać, by zakończyć niepohamowane niczem działanie osoby, przez którą codziennie tyle nieszczęścia w świecie się dzieje. Współczuwałem w tej chwili z pułkownikiem — a widok rysunków pani, pani Stuyvesant, wzmocnił we mnie uczucie to. Zatelefonowałem natychmiast do adwokata Loewensteina; przyszedł zaraz do mnie i naradzaliśmy się całą noc. Już nazajutrz przystąpiliśmy do dzieła — rezultat jest znany.

Jestem szczerym wielbicielem wielkiej sztuki pani, pani Stuyvesant, wiem, że suggestywny wpływ jej jest może jedynym w swoim rodzaju — uchylam czoła zarówno przed fenomenem wpływu tego, jakoteż przed samymi utworami pani. A jednak podziw ten bez zastrzeżenia nie może zaćmić jasnego sądu mego, dzięki któremu poznaję — a zwłaszcza w ciągu całego ostatniego roku tego coraz to jaśniej i dokładniej — że wpływ pani należy do najzgubniejszych, jaki świat kiedykolwiek zaznał. Przez książki i rysunki pani mnóstwo prostych, przyzwoitych jednostek stało się ludźmi, nie nadającymi się więcej do porządku społecznego — a w wielu wypadkach to, co pani stworzyła, spowodowało znacznie gorsze jeszcze skutki. Lecz nawet gdybyś pani nigdy nie była napisała i nie narysowała — to zaraźliwy, suggestywny wpływ osobistości pani zawsze był dość silnym, by wszystko, czego dosięgnie, zatruć słodkim swym jadem. Jad ten, pani Stuyvesant, nosisz pani w sobie, chociaż nie jest on bynajmniej w stanie zaszkodzić pani samej nawet w najłżejszej mierze. O Jorgu Quinterze, roznosicielu bakterji z Andaluzji, opowiadają nam, że ceniono go wszędzie jako bardzo dobrodusznego, uprzejmego, pracowitego, a przytem przystojnego człowieka. Pomnóżmy to kilkasetkrotnie, a otrzy-

mamy obraz pani. Wielka dobroć serca pani wszędzie jest uznana — niedużo znaleźć można ludzi o takiej zdolności pracy, jak panią Marję Stuyvesant. Podobnie jak niejeden wybitny człowiek czuje pani tę instynktowną odrazę do wszelkiego rodzaju stwierdzeń, które coś dobrego o pani zawierają — rezygnuję więc z szerszego rozwijania tego przedmiotu. Lecz chciałbym dodać, że właśnie odraza ta w gruncie rzeczy nie jest niczem innym, jak bardzo delikatną wysydliwością, która w pani, pani Stuyvesant, jest o wiele silniej rozwinięta, aniżeli u wielu innych ludzi.

Jorge Quintero z pewnością życzył bliźnim swym tylko wszystkiego najlepszego i dawał wbrew swej woli tylko mękę, chorobę i śmierć. Zupełnie to samo i pani czyniłaś, pani Stuyvesant. Podobnie jak on przekręcasz zasadę mefistofelesowską, jesteś pani częścią owej siły, która zawsze pragnie dobrego — a zawsze tworzy zło! Zawsze — wszędzie i ciągle na drodze życia pani: jestto nieunikniony los pani!

A teraz, pani Stuyvesant, niech mi pani pozwoli dokończyć przerwana historję towarzysza doli jej, Jorgego. Stary duchowny, Don José Hoyos, odszukał go, mieszkał z nim przez tydzień, naraził odważnie własne życie, by ocalić tylu innych. W tym czasie tłumaczył mu w długich rozmowach, co on, Quintero,

właściwie oznacza dla ludzkości. Tego prosty człowiek ten dotąd wcale nie rozumiał. Zrazu, będąc zupełnie zdrowym człowiekiem, nie mógł zrozumieć, jak może zarażać innych — odepchnął podejrzenie to jako niegodziwe oszczerstwo. Oświecony co do tego przez lekarzy, z jednej strony zaczął niezmiernie żałować siebie samego — uczucie, które leży wogóle w andaluzyjskim charakterze ludowym — z drugiej sam się sobie wydawał jako coś niezmiernie zajmującego, czem też rzeczywiście był dla lekarzy, dla gazet i dla całej publiczności. O, Hoyos nie pozabawił go uczucia tego, lecz przekonał go powoli o antyspołecznym charakterze jego osoby, przekonał go, że życie jego jest równoznacznem z stałym umiowaniem innych — z których niejedyn z pewnością jest o wiele cenniejszym aniżeli on sam. Powiedział mu, że żadna władza i żadna potęga w świecie nie może niczego zdziałać przeciw temu, że nie ma ustawy, na mocy której możnaby wystąpić przeciwko niemu. Kogoś, co zabija innych ludzi, można uwięzić i ukarać i — jego nie, gdyż on przecież nie miał zamiaru zabijania, a nawet świadomości, że bliskość jego śmierć przynosi. Lecz teraz wie o tem — i mimo, że żaden żandarm schwytać go nie może, od tej pory niczem niemal by się nie różnił od mordercy, gdyby

w dalszym ciągu zabijał. Sędziego, co prawda, dla niego nie ma, musi więc stać się własnym sędzią.

Powoli Jorge Quintero zrozumiał starego duchownego. Lecz był pobożnym katolikiem i wiedział dobrze, co to znaczy: samobójstwo! Zakończyłyby życie w stanie ciężkiego grzechu —

Dom José wskazał mu drogę. Czy słyszał kiedyś o świętej Apolonji?

Tak, tę Jorge znał. To ta, która trzyma obcęgami duży ząb, ta, do której się modli, gdy się ma ból zębów.

Duchowny opowiedział mu historję tej świętej. Była skazana na śmierć przez spalenie. Gdy stos był już podpalony, pobożną kobietę ogarnęła taka tęsknota za śmiercią męczeńską, że nie mogła już czekać, aż ręka kata ją uchwyci.

Skoczyła sama w ogień!

To było samobójstwo — jakkolwiek nie według pojęć katolicyzmu.

A pobożne zakonnice Seebenu? W klasztorze benedyktynek pod Briksen zakonnice drżały, gdy francuzi wkroczyli do kraju. Andreas Hofer, Speckbacher, O. Haspinger i ludzie ich musieli się byli cofnąć daleko w góry, wojska jakobińskie były już w dolinie, a zakonnice wiedziały, co ich czekało: zgwałcenie, utrata niewinności. Wówczas skoczyły

z okna w głęboką otchłań, rozbily biedne ciała swe o skały. A mimo, że utrata cielesnej niewinności w tym wypadku bynajmniej by nie była plamą moralnej czystości ich, i mimo, iż zakonnice musiały to wiedzieć i zapewne też wiedziały — kościół jednak zwolnił je od winy.

On zaś, Jorge Quintero, z całą pewnością ma ważniejszy powód, aniżeli wszystkie te kobiety. Gdyby oddał życie swe — o, byłaby to dobrowolna śmierć męczeńska dla życia bliźnich.

Wówczas — uczulby w ostatniej chwili skruchę, której kościół wymaga. A nawet, gdyby nie sam z siebie skruchę tę poczuł, boska wszechmoc obdarzyłaby go przecież łaską skruchy.

Zato on, kapłan Boży, ręczyć mu może — i tak silnie o tem jest przeświadczony, że przyrzeka mu chrześcijański pogrzeb w ziemi poświęconej.

I don José rzekł: „Jeśli Pan Bóg chce — to się nie zarażę. Jeśli chce inaczej — niech będę ostatnią ofiarą twą, kochany bracie.“

Trzy dni ci dwaj spędzili na spowiedzi i gorących modlitwach. Potem Jorge Quintero popełnił samobójstwo.

Duchowny dotrzymał słowa. Mimo wszelkich sprzeciwów duchowieństwa miejskiego, przeprowadził to, że przyjaciel jego został pochowany na emen-

tarzu — on sam odprowadził go na miejsce ostatniego spoczynku.

Dwa dni później zachorował na tyfus; po upływie tygodnia umarł.

Był ostatnią ofiarą nieszczęśliwego.

— Pani Marjo Stuyvesant, naśladowaliśmy metodę starego kapłana. Tak jak on wobec Quintera, tak myśmy spróbowali przekonać panią, co za okropne nieszczęścia, życie i działanie pani stanowi dla ludzkości. Pocięchy, której udzielił duszpasterz owieczce swej, my pani, co prawda, dać nie możemy — opiera się na wierze, której pani nie podzielasz. Gdy Jorge Quintero się sam sądził, stał nad nim wyższy sędzia, a łaska tego sędziego została mu poręczoną przez starego duchownego. Nad panią, pani Stuyvesant, nikt nie stoi: jesteś pani ostatnią i najwyższą instancją swoją.

Nie mamy nic więcej do powiedzenia — praca nasza jest skończona. Zwracamy się przeciw wielokrotnej zbrodniarce, trucicielce i morderczyni: Marji Stuyvesant. I do sędziego jej: Marji Stuyvesant. — Prosimy w interesie społeczeństwa o sprawiedliwy wyrok.“

Erwin Erhardt stał jeszcze przez chwilę wyprostowany, potem usiadł.

Nikt się nie odezwał, nic się w sali nie ruszyło. Z morza odezwał się brzydki krzyk mewy.

Przeszły minuty. Marja wybuchła krótkim śmiechem — potem umilkła znowu.

Wreszcie zaczęła:

„Nie znam się dobrze na procedurze procesowej, lecz wiem, że po prokuratorze zwykł przemawiać obrońca. Panowie rozdzieliliście dobrze wszystkie role — zdaje się jednak, żeście przeoczyli tę funkcję. Nie życzycie sobie nawet, żebym objęła własną obronę — inaczej bylibyście mnie do tego wezwali i nie bylibyście mnie zaraz prosili o wyrok. Podporządkowuję się waszym życzeniom, moi panowie; rezygnuję z wszelkiej obrony. Dalej jestto z pewnością rzeczą zupełnie niezwykłą, żądać od oskarżonego, by siebie samego sądził. Przypuszczam, że ma wówczas chyba prawo, odwrócić tę czynność sędziowską. Byłoby to besprzecznie najwygodniejszym dla mnie. Widzicie, moi panowie, analogja mego wypadku z waszym andaluzyjskim roznosicielem trucizny ma wielką dziurę — dziwię się, żeście jej nie spostrzegli. Bo w rzeczywistości biedak ten wcale nie był — własnym sędzią. Duchowny go sądził i skazał, gdy go przekonał o tem, że sprawiedliwość boska żąda śmierci jego, która jedynaby uwolnić mogła ludzkość od niebezpieczeństwa zarazy. Rola Jorga Quintera polegała

jedynie na tem, że był — katem: spełnił sam wydany wyrok. Odemnie żądacie teraz te samego: wy, moi panowie, jesteście dawno gotowi z wyrokiem, a żądacie tylko, żebym go spełniła. Lecz nie jesteście tacy uczciwi, jak ów jezuita — pozatem, mimo intensywnej pracy całorocznej, nie przypisujecie sobie siły konać mnie w zupełności, jak duchowny pupila swego. Don José wziął na siebie odpowiedzialność za to, co czynił przed światem i sprawiedliwością boską, w którą wierzył głęboko — i zapłacił za to własnem życiem. Wy, panowie, nie bierzecie żadnej odpowiedzialności na siebie — i nie narażacie się na najmniejsze niebezpieczeństwo, gdyż wy wszyscy — przepraszam! z wyjątkiem doktora Erharta — dawno, dawno zarażeni jesteście przezemnie w tem miejscu, gdzie infekcja była możliwa. Umywacie ręce — mnie pozostawiacie sąd — a następnie wykonanie jego.

Dobrze, moi panowie, nie odrzucam urzędu sędziowskiego. A oto wyrok mój: **u z n a j ę s i ę
n i e w i n n ą.**

W wypadku Jorga Quintera stanęliście na terenie światopoglądu chrześcijańskiego. Ale w takim razie Bóg stworzył człowieka tego — stworzył go zupełnie takim, jakim był. Z ciężkim defektem z jednej strony — owemi właśnie bakte-

rjami, których był roznosicielem. Z drugiej strony zaś z wielkim przywilejem: nosił równocześnie w sobie silne antydotum, które truciznę tyfusową w ciele jego czyniło nieszkodliwą. To co czynił, musiał czynić: nie ponosił żadnej winy wobec sprawiedliwości boskiej. Człowiek wypowiedział wyrok nad nim — a że był sam człowiekiem, wierzył w ten wyrok i winę swą. Wypadek takiego niewinnego wroga ludzkości jest przecież dość rzadkim między ludźmi — lecz bynajmniej nieczem szczególnem między innymi stworzeniami. Czy nie jest każda żmija niebezpieczeństwem dla ludzi? Czy szczur nie jest roznosicielem cholery? A anofeles malarji? Lecz ktoby żądał od tych komarów, od szczurów i żmij, by się same zabiły? Społeczeństwo ludzkie twierdzi, że ma prawa — ja osobiście, co prawda, jestem zdania, że się nie ma wogóle praw — na cokolwiekbądź. Lecz zostawmy to. — Głównem prawem społeczeństwa jest bronić się, więc zniszczyć to, co mu szkodliwe. Dlatego tępi szczury, żmije, morderców i jeszcze niejedno. Jeśli społeczeństwo w pewnych szczególnych wypadkach jednak nie śmie wypalać ośrodków zarazy — jak owego Quintera — to wszak to z pewnością tylko wina tego właśnie społeczeństwa — które zazwyczaj bynajmniej nie jest takie skrupulatne! Jeśli mianuje świętą jadowitą kobrę,

muszę wyciągnąć z tego konsekwencje, jak to czyni indyjeczyk; jest ona nietykalna, choćby niewiedzieć ile ludzi zakłuła na śmierć. Jorge Quintero jest roznościelem trucizny — więc dobrze, niech go społeczeństwo, któremu szkodzi, wytępi! Jeśli tego nie może, jeśli tego nie chce — jak na miłość Boską, może żądać, by biedny wąż jadowity czuł bardziej po ludzku, aniżeli człowiek i czynił to, do czego społeczeństwo same nie ma odwagi?

Powiadacie, moi panowie, że jestem o wiele gorszą dżumą dla ludzkości, aniżeli parobek andaluzyjski. Przez rysunki i książki me, jeszcze o wiele bardziej atoli przez indywidualność moją — krzewiłam wśród ludzkości — jak mówicie — wszelkie możliwe trucizny. Sama odporna — rozsyłam jednak co godziny na wszystkie strony tchnienie zarazy. Ale komu, moi panowie, mógł Quintero zaszkodzić swemi bakterjami tyfusowemi? Przedewszystkiem nie owym nielicznym, którzy byli zupełnie tem samym co on: roznościcielami bakterji — zapewne, że chyba na takich nie napotkał. Następnie też nie owym innym, którzy z natury byli odpornymi — a wreszcie nie ludziom, szczepionym przeciw tyfusowi. Sądzę, że tak samo jest ze mną. Trucizna ma nie może działać na nikogo, co jest odpornym czy to z natury, czy to dzięki silnej lymfie — jakiego-

kolwiek rodzaju. Ponieważ trucizna ma jest trucizną duchową, mogę sobie wyobrazić niejedno skuteczne antidotum — bądź to jakąś religję, filozofję, bądź jakąkolwiek silną wiarę. Dla wszystkich tych ludzi jestem, to mi przyznacie, zupełnie bezpieczną. Zaszkozić może trucizna bakterji tylko temu, którego ciało jest podatnym dla niej gruntem: miłość trucizny sama nie wystarcza, musi znaleźć wzajemność u każdego poszczególnego osobnika.

Tak, sądzę, jest i ze mną. Iskry, które ze mnie promieniają, tam tylko mogą wzniecić pożar, gdzie dają na dobrą hubkę.

W jedną rzecz wierzę mocno, moi panowie, mianowicie, że najpotężniejszy czarodziej nie może z człowieka wydobyć tego, co w nim nie tkwi. Odnosi się to zarówno do dobrych jak do złych rzeczy. Nikt nie staje się poetą, kto nie urodził się poetą — i nikt się nie stał mordercą, jeśli w nim nie tkwi od urodzenia możliwość mordowania. Zapewne: może być, że taki człowiek nigdy się nie stanie mordercą lub nigdy poetą. Ale może się nim stanie, może skoro nieznanne jakieś słowo czarodziejskie otworzy szeroko zamknięte wrota jego duszy!

I tylko to ja czyniłam, moi panowie! Tylko to! Powiadacie — że zarażałam wiele dusz! Myślę, że nie było zupełnie tak źle. Myślę raczej, że byłam

tylko zewnętrzną przyczyną tego, że w duszach tych coś wysoko wyrosło, co tkwiło w nich od samego początku jako ziarno. Panowie sądzą, że to bynajmniej faktów nie zmienia? Sądzę, że przecież!

Nazwałeś mnie pan, panie doktorze Erhardt, „częstką owej siły, która zawsze pragnie dobrego — a zawsze tworzy zło!“ Muszę zaprzeczyć temu, chociażby było bardzo pochlebne dla dobrych chęci mych. Nigdy nie chciałam ani dobrego, ani złego. Co prawda, czyniłam niejedną rzecz dobrą — i jak panowie wiecie, także niejedną złą — lecz skutku jakiegokolwiek, panowie, nie zamierzałam nigdy ani w jednym, ani w drugim kierunku. Jeśli wyznaję jaką świącę w tym względzie, to mogłabym ją — warjując słowo Goetego — wyrazić może w ten sposób: wierzę, że wszystko, co istnieje — zanim zaginie — powinno raz jeden żyć własnem swem życiem. Uczyniwszy to, niech sobie zginie według życzenia.

Moi panowie, stoimy w dwóch obozach, między którymi nie ma porozumienia. Panowie zastępujecie wielką wiarę humanitarną, że dobro całego rodzaju ludzkiego jest jedynym probierzem, według którego wszystkie inne rzeczy mają być oceniane. Mnie zaś dobro lub szkoda ludzkości zupełnie są obojętne. Znam pewnego milionera w Nowym Jorku, który

od przeszło dwudziestu lat w wszystkich częściach miasta zakłada mnóstwo drobnych mleczarni; dzień w dzień zaopatruje się tam tysiące ubogich dzieci w mleko. Niema wątpliwości, że piękna ta instytucja wielu dzieciom uratowała zdrowie, może życie. Człowiek ten uchodzi za wielkiego dobroczyńcę ludzkości — lecz w moich oczach nie zrobił nic innego, jak to, że wydawał pieniądze w sposób sprawiający mu przyjemność. Gdyby z tych setek tysięcy dzieci, które przez te lata mleko jego piły, byłby wyszedł jeden jedyne Rembrandt, wówczas dopiero i jabym mu mogła być wdzięczną — niestety nic o tem nie słyszałam. Dante i Beethoven, Napoleon i Goethe mogą mieć wszystkie prawa Bóstwa — lecz człowiek przeciętny ma tylko to jedyne prawo: by zginąć. I uważam, że to bardzo obojętne, czy to się dzieje w tempie mniej lub bardziej przyspieszonym.

Wpoilałam, jak panowie mówicie, wiele trucizn w liczne dusze lub, jak ja to pojmuję, wielu roślinom jadowitym, które nędznie wegetowały w suchej ziemi dałam tak dobry nawóz, że zakwitły bujnie. Tak z barona Ayxa stał się gracz, z Izabelli dell' Greco prostytutka. Hrabia Thun stał się palaczem opjum, bankier Ulbing paskarzem, adwokat Loewenstein pijakiem. Zapominacie tylko o tem: nikt z was nie stał się niczemkolwiek, czem nie był od początku.

A gdyby piękna żona pańska, panie dell' Greco, była panu zawsze wierną została — to byłaby jednak miała duszę prostytutki — dowiodła tego, gdy opuściła pana i szła potem od jednego do drugiego. A pan, Frydel, pan zostaniesz pijakiem, nawet gdybyś pan przeszedł przez dwadzieścia kuracji abstynencyjnych, gdybyś żył w kraju najbardziej abstynencyjnym i gdybyś już nigdy nie pił ani kropli wina!

Panowie zasiadacie do sądu nademną — w własnym imieniu, a zarazem jako przedstawiciele wielu ludzi, będących zupełnie takimi jak panowie! Każdy z was cierpi na jakieś zboczenie — i każdy wie, że ja jestem wolną od tego! Znam każdy występki, popełniłam każdy grzech znany mi; wykosztowałam gruntownie sensację, którą wywołuje każdy występki. Ale tylko w celu poznania go. Wy, panowie, wy i równi wam, jesteście niewolnikami jakiegoś małego grzechu. Ja zaś jestem panią nad wszystkimi. I dlatego, że wolna, że stoję wysoko ponadtem — dlatego prześladowacie mnie!

Głęboko przekonani o własnej nicości — żądacie mego unicestwienia! I łączycie się i myślicie w nędznej waszej wierze masowej, że nic i jeszcze raz nic i wiele tysięcy razy nic w końcu przecież tworzą potęgę.

Mylicie się, moi panowie! Nie macie nawet tej odrobiny siły, by zniszczyć znieprawione stworzenie, które stoi tu przed wami! Złożyliście wyrok w moje ręce; a więc: z walnia m się.“

Głos Marji Stuyvesant nie podniósł się. Mówiła bardzo spokojnie, bardzo cicho i z pewnością siebie. Nie czekała na odezwanie się siedmiu panów; rzekła:

„Dziękuję wam, panowie! A teraz możecie odejść.“

Nikt nie odpowiedział; siedzieli i nie ruszali się. Potem wstał hrabia Thun, wziął klucz ze stołu, poszedł ku drzwiom niepewnym krokiem. Pan dell' Greco poszedł za nim, zostawiwszy drzwi szeroko otwarte. Bankier Ulbing podniósł się, następnie malarz i adwokat Loewenstein.

Pułkownik Thursby zbliżył się, stanął przed Marją. Czarne oczy jego dziwnie zamigotały, usta jego drżały. Jednak — nie znalazł słowa. Kąsał wargi — wyszedł jak tamci.

Patrzała za nim, uśmiechnęła się. Odłożyła papieros swój, podniosła się. Westchnęła lekko. Następnie podeszła do okna, odsunęła zasłonę, spojrzała na zatokę, nad którą leżało światło miesięczne. Jeszcze jeden był w sali. Zeszedł, podszedł ku niej. Rzekł:

„Jestem Erwin Erhardt. Inżynier, fabrykant, wynalazca. Dość bogaty — nawet gdybyś pani liczyła na dolary.“

Odwróciła się: „Pan! — Czy nie powiedziałeś pan, że panu nigdy niczego nie wyrządziła? — Czego pan sobie życzy?“

Rzekł z cicha: „Czy chcesz pani wyjść za mnie?“

Pani Marja Stuyvesant wybuchała śmiechem: „Czy to musi być zaraz, doktorze? — Powietrze tu duszne — czy nie uważasz pan także? Chodź pan, popłyniemy trochę łódką w tę piękną noc księżycową.“



Moja matka, czarownica.



Na Łysiej Górze zlatują się one
Ściernie są żółte, żniwo zielone
Tam się odbywa czarownic tan
Na górze siedzi pan Uryan.

Goethe.

Doktor Kasper Krazykat ' napisał do swego brata w te słowa:

„Kochany bracie! Dziękuję Ci za Twój list — pierwszy od ośmiu lat, może nawet od dziesięciu lub dwunastu. A z pewnością jeszcze więcej czasu upłynęło, od kiedy ja do Ciebie pisałem. Było tak zapewne dobrze: ponieważ słyszeliśmy o sobie zawsze tylko za pośrednictwem matki naszej, patrzymy na siebie właściwie tylko jej oczyma; panowała wskutek tego między nami zawsze czysta harmonja i zgoda, czuliśmy dla siebie tylko miłość i przyjaźń. Owe nieliczne chwile, w których spotykaliśmy się przy sposobności gdzieś na szerokim świecie, były zawsze zbyt krótkie, by mogły rzucić chociażby najlżejszy cień na idealny ten stosunek.

Jeśli więc nagle na list Twój odpowiadam — i jeśli piszę tak obszernie i dokładnie, jak to czynić

muszę, zrozumiesz, że mam ku temu bardzo ważne przyczyny.

Piszesz do mnie, kochany bracie, w wielkiej radości i natchnieniu. Będziesz miał wkrótce lat pięćdziesiąt, poznałeś — tak samo jak ja — kobiety we wszystkich pięciu częściach świata, możesz sobie więc pozwolić na sąd o nich. Zaręczyłeś się, za parę tygodni chcesz się ożenić. Młoda panna pochodzi z najlepszej rodziny, jest bardzo bogata, bardzo piękna, o kwitnącem zdrowiu, w dodatku inteligentna. Ubóstwiasz ją — ona Ciebie jeszcze bardziej — czego można jeszcze żądać? Na dziesięciu gęsto zapisanych stronach marzysz o wielkiem szczęściu swem — chcę wierzyć w każde Twe słowo, nie chcę przypuszczać, że jest w nich najmniejsza przesada. Z drugiej strony zaś wysoka pozycja Twa, dochody Twe, żelazna siła, męska piękność Twa — przepraszam za komplementa, lecz za każdym razem, gdy odwiedzam matkę, muszę podziwiać najnowsze podobizny Twe i słuchać hymny pochwalne o Tobie! Jest słusznie dumna z Ciebie, i przyznać muszę — i ja nim jestem niemniej od niej. Zatem: wybrana Twa może być bardzo rada, że Cię dostanie. — a różnica wieku nie ma przytem żadnego znaczenia. Koniec końców: niema najmniejszej chmurki na błękitnem niebie szczęścia Twego — powinienem się cieszyć

z Tobą i przesłać Ci gorące życzenia, by tylko zawsze tak zostało!

Ja zaś przeciwnie: zaklinam Cię na wszystko, błagam Cię: zerwij natychmiast z narzeczoną swą — nie żęń się!

Ty, kochany bracie, jesteś zdrow jak ryba, tak samo jak ja; z kobietą równie zdrową mógłbyś mieć z pewnością silne i zdrowe dzieci. O ile Ci wiadomo — i o ile mnie do tej pory wiadomem było — nie istnieje w naszej rodzinie — zarówno po stronie ojca, jak i po stronie matki — ani jeden wypadek, któryby dał powód do jakiegokolwiek obawy. Ojciec nasz doczekał się dość późnego wieku i przez całe życie swe był zdrow i silny, matka nasza ma przeszło osiemdziesiąt lat, a zdumiewająca fizyczna i umysłowa rzeźkość i ruchliwość jej znane są w całym mieście. A jednak: właśnie ze względu na nią muszę Cię przestrzedz, kochany bracie. Wiesz, że skłonność do pewnych chorób, szczególna nienormalność jakaś, dość często nie z rodziców na dzieci przechodzi, lecz jedno pokolenie przeskakuje: obawiam się tedy, że szczególna skłonność matki naszej mogłaby przejść na potomstwo Twe. Ja sam, kochany bracie, znajdowałem się trzy lub cztery razy w zupełnie tej samej sytuacji, w której Ty obecnie jesteś. Wówczas nie wiedziałem jeszcze tego, co teraz wiem, nie

wiedziałem nic o zdumiewającej naturze kobiety, która jest naszą matką. Był to chyba ukryty instykt, który mnie za każdym razem chronił szczęśliwie od kroku, do którego Ty, zdaje się, obecnie jesteś zdecydowany: od żenienia się. Za każdym razem postępowanie me wydawało się wszystkim znajomym i przyjacielom mym zupełnie bezsensownem, nawet omal że nie szalonym. Zaprowadziłoby to za daleko, gdybym ci opisał wszystkie wypadki moich zaręczyn i nagłych rozręczyn. O jednym tylko chciałbym Ci kilka słów powiedzieć — jestto charakterystycznym także i dla innych. Wówczas miałem się żenić nazajutrz z dziewczyną, o której mógłbym dziś jeszcze to wszystko powiedzieć, co piszesz w liście swym o własnej narzeczonej. Miałem atoli wtedy jeszcze o wiele ważniejsze powody do żenienia się, które w Twoim wypadku wcale nie istnieją. Byłem bez żadnych środków, żyłem już przeszło rok tylko z długów — zdaje mi się nawet, że i Ciebie wówczas naciągnąłem. Nerwy me były zupełnie zniszczone, od miesięcy, żyłem poprostu cudem wszelkich możliwych środków. Właściwie tylko kobieta ta, w którą wierzyłem i którą kochałem, trzymała mnie przy życiu. Gdym się w przeddzień ślubu kładł wieczorem do łóżka, miałem pewne uczucie: nareszcie

wylazłeś z całego tego błota. Skręciłem światło w miłym przekonaniu, że uczynię nazajutrz pierwszy raz coś niezmiernie mądrego. Sypiamy zazwyczaj doskonale, Ty i ja; może to nas tak dobrze konserwuje. Dwie minuty po nakryciu się koldrą — zasypiam mocno — dziś tak samo jak było zawsze. Ta noc była jedną z nielicznych w mem życiu, w której nie mogłem spać. Nie, żebyśmy myślał nad czemśkolwiek. Lecz we mnie coś myślało. Było, jak gdyby coś obcego we mnie pracowało, by z ukrytej jakiejś głębi wydobyć uśpioną myśl. „Ja“, t. j. świadomość ma, przypatrywała się temu — miałem uczucie dziwnej ciekawości, czy owa myśl, która mi zresztą była zupełnie obojętną, wydobędzie się na jaw, czy nie. Szło to tak przez chwilę, potem próbowałem oderwać się od tego i wyobrazić sobie świadomie coś innego. Najbliższym dla mnie przedmiotem była naturalnie ma narzeczona. Wyobrażałem sobie tedy, jak wyglądać będzie w welonie ślubnym i z kwieciem pomarańczowem. W tej samej chwili atoli czułem, że owa utajona myśl, błakająca się w podświadomości mej musi być właśnie w jakimś związku z tą narzeczoną — z narzeczoną w welonie i z wieńcem ślubnym. A za chwileczkę myśl ta wyskoczyła na jaw — i wbiła szpony swe w mózg mój,

utwierdziła się w nim: „nie idź z nią do urzędu! Nie prowadź jej do kościoła! Nieżeń się z nią!“

Przez chwileczkę byłem przerażony. Potem zaś myśl ta wydawała mi się taką komiczną, że wybuchłem głośnym śmiechem. Wyobrażałem sobie, jak bezgranicznie głupiem, jak bezsensowem, jak okrutnem i nikczemnem by to było! Tę, którą kochałem, i która mnie bardziej może jeszcze kochała, unieszczęśliwiłbym na życie całe, a nawet może popchnąłbym w rozdrażnieniu do samobójstwa. I niemniej siebie samego — gdyż istotnie w ówczesnem położeniu mem niedużo miałem wyboru! Wobec stanu rzeczy było to całkowitem szaleństwem wahać się choćby przez chwilę.

A jednak — myśl utkwiała, kamienna, nieruchoma: „Nieżeń się!“

Starałem się więc odkryć powód jak^ś, dlaczego się właściwie z nią żenić nie miałem. Lecz nie znalazłem żadnego. Cokolwiek mi na myśl przychodziło — było to zawsze wielką podporą dla decyzji żenienia się. — Ale zerwanie migotało jak ognik błędny, tu i tam, zawsze nieuchwytnie.

Starałem się na wszystkie sposoby usnąć. Nie szło. Wstałem, odkręciłem światło, nałożyłem kimono i biegłem tak po pokoju. Próbowałem czytać, paliłem jeden papieros po drugim. Chodziłem

z jednego pokoju do drugiego, gapilem się na każdy i na każdy mebel, otworzyłem okno, wyglądałem — starałem się wszelkimi sposobami oderwać się od tej myśli.

Lecz ta mnie nie odbiegała. Trzymała mnie: „Nie czyn tego!“

Wreszcie siedziałem przy biurku. Pisałem długi list do jakiejś kobiety, z którą łączył mnie niegdyś stosunek, opowiadałem jej, że się żenię, żegnałem się. Był to list bardzo nienaturalny — zupełnie zbyteczny, gdyż od długiego czasu już nie miałem z tą kobietą nic wspólnego. Miałem świadomość tego od pierwszej chwili. Jednak pisałem list ten. Wyobrażałem sobie potem, coby była powiedziała, gdyby go otrzymała. I coby znowu powiedziała, gdybym przyszedł sam kilka godzin później, by oświadczyć jej, że jednak się nie ożeniłem.

Naturalnie, że podarłem list.

Potem wziąłem świeży arkusz — przysięgam Ci, że nie „ja“ pisałem, aczkolwiek ręka ma prowadziła pióro po papierze. Pióro pisało do narzeczonej mej: „Nie ma sposobu. Nie mogę się żenić. Nie wiem, z jakiego powodu — lecz nie mogę.“

List ten ręka ma włożyła do koperty, napisała adres i nalepiła marki: Nogi me zniosły go na dół,

po schodach, na ulicę — tak dostał się do skrzynki pocztowej.

Wróciłem na górę, położyłem się do łóżka, zasnąłem natychmiast.

Nazajutrz zrana przypomniałem sobie całkiem dokładnie, co uczyniłem. Miałem tylko jedno uczucie — pragnąłem uniknąć oświadczeń i rozpraw. Spakowałem kuferek ręczny, pojechałem na dworzec, kupiłem bilet — dokądkolwiek — i odjechałem.

Od tego czasu dużo lat już upłynęło. Często i bardzo głęboko nad tem się zastanawiałem; musiałem sobie zawsze powtarzać, że postąpiłem wprost sprzecznie z rozsądkiem, że zburzyłem własne szczęście i szczęście innych w sposób bezsensowny, dziecinny i okrutny. A jednak równocześnie nie mogłem pozbyć się uczucia, że była to — z tem wszystkim — jedyna rzecz słuszna i możliwa, aczkolwiek nie mogłem odkryć ani cienia powodu.

Zupełnie podobnie, chociaż nawet w przybliżeniu nie tak jaskrawo, postąpiłem i w innych wypadkach. Zawsze byłem najpierw silnie zdecydowany do żenienia się, czem bardziej atoli ten dzień się zbliżał, tem przykrzejszych doznawałem uczuć, tak że ostatecznie uwolniłem się odmową. Naturalnie, że szukałem zawsze nieświadomie powodu jakiegoś

— i znajdowałem go też. Wmawiałem w siebie wtedy zawsze, że jest to powód bardzo słuszny; dziś, zastanawiając się nad tem, widzę, że wszystkie me uzasadnienia były zupełnie niedostateczne. Raz napisałem arcsentymentalny list odmowny, kulminujący w zdaniu, że nie mogę poświęcić wolności swej i dać się zamknąć w złotej klatce.“

Innym razem —

Lecz nie chciałbym nudzić cię temi wspomnieniami. Wystarczy, jeśli Ci zapewnię, że zawsze sam siebie okłamywałem, wmawiając w siebie, że z tego czy innego powodu cofam się przed małżeństwem. Widzę dziś, że wszystkie wybiegi me były czystym nonsensem — nie trafiały też nigdy do przekonania drugiej strony. Dziś zaś wiem, z jakiego źródła płynął ów opór instynktowny, który za każdym razem wstrzymywał mnie od takiego stanowczego kroku.

Od trzech miesięcy przeszło bawię teraz u matki naszej; po wielu latach widziałem ją znowu poraz pierwszy; mam mało do czynienia; spędzam z nią tedy codziennie wiele godzin sam na sam. Tak od niechcienia, nie mając właściwie wcale zamiaru, obserwowałem ją w ciągu tych tygodni bardzo dokładnie. Miałem znowu raz owe nieświadome uczucie, że powinienem czegoś szukać.

Szukałem tedy. I znalazłem —

Oto rezultat: Ty i ja, my obaj nie powinniśmy się nigdy żenić. A to dlatego, że zachodzi wielka możliwość, że z przeskoczeniem jednego pokolenia, jedno lub drugie z dzieci naszych mogłoby odziedziczyć naturę matki naszej. Mogłoby zostać tem, czem ona jest — czarownicą.

Zapewne w tem miejscu śmiać się będziesz. Może potem po chwili, spoważniejesz, potrząśniesz głową i zaczniesz z lekka wątpić o poczytalności mej. Niech i tak będzie. I mnie samemu — gdy odkrycie me poraz pierwszy jasno stanęło przed oczyma memi, owe słowo tak bezsensowe, śmieszne, niewinne i dziecinne zarazem w naszych czasach — „czarownica“ — wydawało się nie mniej absurdem. Sam zwątpilem w swój rozum — zupełnie tak jak Ty to uczynisz. Lecz czytaj tylko dalej; jeżeli po tem, co się dowiesz, będziesz jeszcze mógł wątpić, gdyby mi się nie udało przekonać Cię o prawdzie opowiadania mego — w takim razie uczynź z lekkim sercem to, co ja zowień zbrodnią wobec ludzkości: ożeń się! Płodź dzieci, obdarzaj świat — czarownicami!

* * *

Znasz naturalnie, podobnie jak ja, ów czar zdumiewający, właściwy matce naszej — czar, któremu nie tak łatwo ktoś się oprzeć może. Każde dziecko zna ją w mieście tak samo, jak każdy dorosły. Jeśli

zrana wychodzi z laską swą, to napewne na każdym rogu stoi jakaś istota żeńska lub męska, która przeprowadzi ją na drugą stronę ulicy i uważa na to, by ani auto ani rower ani tramwaj zbytnio się do niej nie zbliżyły. Skoro poczyniła zakupy, napewne przystąpi do niej jakieś dziecko na ulicę z prośbą, by wolno mu było nosić jej pakieciki. W tramwaju, w omnibusie, na statkach reńskich nie powstaje jeden tylko pan, siedzący właśnie przed nią, by zaofiarować jej miejsce swe, nie, wszyscy panowie i wszystkie panie współzawodniczą w tem, by odstąpić jej miejsce. Uprzejmość personalu w operze, w teatrze i w salach koncertowych, podobnie jak w sklepach i restauracjach, w których czasem jadamy kolację, jest zdumiewającą, zawstydzającą wprost — rzekłbyś, że ci ludzie ubiegają się o to, by móc okazać jej jakąś grzeczność. Co wieczór, gdy się z nią wybieram na przechadzkę, dziwię się na nowo. Znajomi, panowie i panie, a nawet dzieci, mające właśnie kwiaty w ręku, zbliżają się, by jej te kwiaty wręczyć; przytem nie ma dnia, w którym by jej nie przysłano do domu kwiatów w wazach lub doniczkach. Mnie przypada co rana obowiązek podlewania tych kwiatów; trwa to jakie minut czterdzieści. Nie wiem, czy pisała Ci kiedykolwiek o „imieninach“ swych. Parę lat temu przyszło jej na myśl, że jeden jedyny dzień urodzin

nie wystarcza na cały długi rok, postanowiła tedy święcić też swe „imieniny“. By stwierdzić ich datę, zaglądnęła do kalendarza — nazywa się, jak wiesz: Janina Nepomucena Hubertyna Marja. Huberta mamy raz tylko, w listopadzie, Jana Nepomuka również raz. Lecz wszystkie inne dni — poświęcone św. Janowi i Marji Pannie — tych jest moc cała — to prawdziwa rozkosz! Oświadczyła tedy, że nie może się zdecydować do tego właśnie czy owego dnia — obchodzi je więc wszystkie! To się rozgadało a od tego czasu krewni, znajomi i sąsiedzi posyłają kwiaty i podarunki na wszystkie te imieniny — jest ich parę tuzinów. Balkon jej, wychodzący na ogrody klasztorne, jest istotnym koszem kwiatów; o porze herbacianej przesiaduje na nim w gronie młodych ludzi, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, śpiewaków, aktorów — panów i pań. Bywają i inni ludzie — lecz sztuka góruje zawsze. I zawsze: młodzież — nie lubi starych ludzi. Ty i ja — my już dla niej właściwie zbyt starzy, tylko że w nas, jako w dzieciach swych, widzi zawsze jeszcze małych chłopaków. A to pewna, że stara matka nasza między wszystkimi zawsze jest najmłodszą — taka żywa, taka wesoła, taka pełna tryskającego dowcipu. Ludzie zawsze mówią, że musi być w posiadaniu jakiegoś tajemni-

czego, odmładzającego płynu — wówczas się uśmiecha.

Naturalnie że ona panuje; nie znosi innej woli w domu. Co do mnie, ciągle jeszcze mnie „wychowuje“ i dyktuje mi codziennie kary. Pięć marek za to, że się spóźniłem na śniadanie, dwadzieścia marek za ironiczny uśmiech, trzydzieści za to, że nie chwaliłem kawy tak jak zwykle, dziesięć za zachmurzoną minę i t. d. Oblicza wszystko bardzo tanio, jak widzisz, lecz płacę jednak conajmniej pięćdziesiąt marek kary dziennie. Matka zaś bardzo zadowolona, że odkryła to nowe źródło dochodów. Niema najmniejszego zmysłu dla wartości pieniędzy; pomaga każdemu, który znajduje się w potrzebie i zadłuża się naturalnie jak student. I podobnie bez frasunku zbiera rachunki i wręcza je dla wyrównania mnie lub Tobie, kochany bracie, kto z nas właśnie u niej bawi.

Zapewne, że wszystko to jest zachwycające; podobnie jak każdy inny, tak i ja oczarowany jestem wdziękiem starej damy, którą wolno nam nazywać matką. Wszystko w niej jest harmonijne; a niektóre małe wady służą tylko do tego, by całość uczynić bardziej jeszcze pociągającą. A jednak kobieta ta jest —

Zazwyczaj nie długo po jedenastej udaje się na spoczynek. Odprowadzam ją wówczas do sypialni, życzę jej dobrej nocy i idę do swego pokoju. Przed niedawnym czasem zapomniałem był jakąś książkę; zeszedłem tedy ponownie, by ją poszukać. W przed-sionku zapukałem ostrożnie do drzwi jej pokoju. Nie ma odpowiedzi. Ponieważ nie mogła jeszcze usnąć, zapukałem ponownie, wreszcie otworzyłem ostrożnie drzwi. Pokój był nawpół oświetlony, łóżko nienaru-szone. Poszedłem przez jadalnię do jej buduaru; tam spostrzegłem ją, siedzącą na fotelu. Była zupełnie ubrana, łokcie oparte na stole, głowę trzymała w rękach. Oczy jej były szeroko rozwarte — i patrzyły w próżnię. Wszedłem, zrazu cicho; potem spowodowałem umyślnie lekki szmer — zdawało się, że mnie nie słyszy. Przestraszyłem się — czy może jej się coś przydarzyło? Lecz już drugie spojrzenie uspokoiło mnie — żyła i oddychała. Usiadłem więc, nieco oddalony od niej, na kanapie i obserwo-wałem ją.

Nie ruszała się. Rysy jej były nieruchome, lecz nie zdrętwiałe, oko widocznie żyło. Chwilami zdawało się, że dreszcz jakiś nią wstrząsa — lecz być może, że się myślę, co do tego: Nie było światła w pokoju, tylko pełnia księżycowa sierpniowej nocy wpadała przez okno szeroko rozwarte — siedziała w tem

świetle srebrzystem. Siedziałem tak cicho jak ona; czekałem, czekałem, aż się stanie cośkolwiek. Lecz nic się nie stało. Słyszałem, jak bił zegar na schodach; było właśnie pół do dwunastej.

Czułem, i byłem tego zupełnie pewny, że znajdowałem się tu wobec rzadkiej tajemnicy; lecz nie mogłem sobie jeszcze niczego skombinować. Nie działo się nic, zgoła nic. Nareszcie śnać obudziła się z tego tranzu, westchnęła lekko raz lub dwa razy, potem uśmiechnęła się. Wstała, uśmiechnęła się ponownie, uczyniła parę niepewnych kroków w kierunku do okna. Była obecnie bezprzecznie zupełnie przytomna; widziałem, jak zerwała kilka zwiędłych liści geranium i wyrzuciła je oknem. Następnie wróciła, nie zauważywszy mnie wcale w kącie mym, i pewnymi krokami udała się do sypialni.

Zakradłem się pod drzwi, nadśluchiwałem. Słyszałem, jak się myła, rozbierała, jak się położyła do łóżka. Potem, po bardzo krótkim czasie spokojny oddech śpiącej. Cichutko wyszedłem z pokoju; na zegarze nie było jeszcze pół do pierwszej. Stan odrętwienia jej trwał tedy conajwięcej czterdzieści minut.

W następnych wieczorach kontynuowałem obserwację; wchodziłem cicho do buduaru jej, gdy się już cofnęła do sypialni i czekałem w kącie swym.

Czekałem wiele godzin z rzędu — nie zjawiała się atoli. Dopiero czwartej nocy weszła ponownie. Nie o tej samej godzinie, jak za pierwszym razem — lecz nieco później. Widocznie świadomie lub nieświadomie czekała na całkowite wejście pełni. Wstała cicho do pokoju i usiadła na fotelu — nie na tym, na którym siedziała ostatnim razem, lecz znowu w pełnym świetle księżycowem. I pozycja jej nie była tą samą. Tym razem ręce jej opierały się na poręczach i tak patrzyła nieruchomo w dal. Mogłem dokładnie zbadać czas — siedziała trzydzieściszść minut bez ruchu. Potem znowu cicho się cofnęła.

W następnych nocach i tygodniach nic. Zrozumiałem, że musi to być w jakimś związku z pełnią księżycową — czekałem tedy aż do września. Wówczas znowu się zjawiała; w ogólności było to to same zjawisko, co poprzednio. Tej nocy zaszło atoli coś, co mnie zbliżyło nieco do rozwiązania zagadki. Podczas gdy matka kąpała się w promieniach księżycowych — wygodnie tym razem niebieskawo-srebrzyste pukle jej rozpuszczone były — uczyniłem jakiś ruch niezręczny, wywróciłem mały stolik, na którym stały dwie wazy z kwiatami. Lecz mimo nader głośnego uderzenia, matka się nie ruszyła; widocznie nic nie słyszała. Ciało jej siedziało tu przedemną

w świetle księżycowem — lecz dech jej oddalony był o setki mil. Potem, gdy wróciła do sypialni swej, znowu podsłuchiwałem pod drzwiami — wówczas usłyszałem nagle, że się zbliża ku drzwiom. Zrobiłem rychło światło, podeszłem do stołu, jak gdybym czegoś szukał. Matka otworzyła drzwi. „Czy zapomniałeś coś?“, zapytała. Głos jej brzmiał spokojnie jak zawsze; nie nie przypominało stanu somnambulicznego, w którym się znajdowała przed kilkoma jeszcze minutami.

Odpowiedziałem, że szukam kieszonkowego pióra swego; śmiała się i powiedziała, że zostawiła zegarek swój. Ucałowałem ją jeszcze raz na dobranoc, ona zaś znowu przypominała, bym tylko nie przyszedł za późno na śniadanie.

Było tedy pewnem, że albo zupełnie sobie nie przypominała transu swego, lub też, że tak już była przyzwyczajona do tego stanu, iż wcale już nań nie zwracała uwagi i po kilku minutach zupełnie o nim zapominała. Równocześnie zaś sen ten somnambuliczny był tak silnym, że nawet hałas tak wielki, jak wyrócenie stolika z wazami nie zdołał jej obudzić. I pewnem też było, że w tych godzinach zachwytu świadomość jej — duch jej, czy dusza, nazwij to jak chcesz — opuszczała ciało jej i znajdowała się gdzieindziej.

Lecz gdzie? Oto co należało wytropić.

Zestawiłem cały szereg drobnych szczegółów, które zawiodły mnie na trop, co prawda bardzo zwolna tylko. Niektóre z nich obserwowałem obecnie dopiero. Po nawiększej części zaś znałem je już od długich lat; jeno że nie przypisywałem im dawniej żadnego znaczenia. Wiesz, Kochany bracie, że mamy w ogrodzie naszym wiele żab i ropuch. Pięknych, wielkich ropuch z zielono i żółto-złocistemi oczyma — wyznaje, że podzielam całkowicie zamiłowanie matki dla tych zwierząt. Czy przypominasz sobie, jak w latach chłopięcych nastawialiśmy dla nich garnuszczyki z mlekiem? Prawdopodobnie pędraki i dżdżowniki byłyby bardziej pożądane. Wiesz też, że matka czasem schodzi do ogrodu, że się cieszy, skoro ropucha jakaś biegnie przez ścieżkę, że czasami mówi też do tych zwierząt. Lecz nowem będzie dla Ciebie coś, co zauważyłem przed paru tygodniami. Szukałem około zmierzchu matki, by wyjść z nią na przechadzkę, usłyszałem potem cichy jej głos w ogrodzie. Zeszedłem — szła zwolna po ścieżkach i trzymała na jedwabnej wstążeczce olbrzymią brązową ropuchę, którą prowadziła jak pieska. Mówiła do niej. Gdym przystąpił, śmiała się, powiedziała, że „Lisa“ dziś bardzo niegrzeczna i że nie ma ochoty iść z nią; opowiadała mi potem, że już

jako mała dziewczynka bawiła się z ropuchami prowadząc je na sznurku. Następnie odwiązała zwierzę i posadziła je między muchomory, rosnące obok wielkich paproci: i to jest takim małym znakiem — te grzyby! W jakim przyzwoitym ogrodzie toleruje się jadowite grzyby? Matka nasza zaś rok w rok walczyła z ogrodnikiem, by pod żadnym warunkiem nie ruszył tych grzybów. Otóż, w parę dni później, gdy przyszedł ogrodnik, by urządzić grządki, zapytałem, jakie rodzaje grzybów właściwie mamy w ogrodzie. Obok muchomorów rosną tam: pantery, grzyby djabelskie — wszystko to jadowite jak grzech. Ale nie znajdziesz ani jednego grzybu nieszkodliwego w naszym ogrodzie.

To mi nasunęło myśl, przyglądając się raz bliżej kwiatom i roślinom, które trzymała w pokoju. Jest tam naturalnie wielka ilość całkowicie nieszkodliwych; wobec tego, że cały świat przynosi kwiaty matce naszej, jest to zupełnie naturalnem. Przy sposobności tak pokierowałem rozmową, by sama powiedzieć musiała, jakie rośliny i kwiaty szczególnie ceni. Większą część lubieńców jej znałem już od lat wielu. Czy przypominasz sobie, kochany bracie, że już na Boże Narodzenie posyłano nas do ogrodu klasztornego lub do parku, by szukać tam pod śniegiem białych ciemierników? Róża zimowa **była**

zawsze pierwszym kwiatem w roku, który matka chciała mieć za wszelką cenę — tak jak zimokwit był ostatnim. A jak Ci wiadomo, oba te kwiaty są bardzo jadowite. Olbrzymie bukiety złocienia rosną na wiosnę w wazach jej później naparstnice i lisie róże. Na jesień i zimą porozstawiane są wszędzie wielkie donice fjołków alpejskich, bardzo prędko miewa potem małe anemony i rozmaryny. Otóż dobrze — wszystkie te kwiaty są arcyjadowite. Odpowiesz mi, kochany bracie, że niemniej przeto są bardzo piękne i że matka miewa wszak obok tych kwiatów jadowitych także wielką ilość nieszkodliwych. Zgadzam się — a nawet daruję Ci jeszcze jej psiankę i cykutę, chociaż zapewne w niewielu domach je znajdziesz. Lecz w czym polega piękność mleczka i djablego oczka? A te rosną u nas w ogrodzie i w doniczkach. Najdziwniejszą rzeczą jednak są wazony z tym obrzydliwym szalejem. Musisz przyznać, kochany bracie, że trzebaby długo szukać, zanimby można znaleźć to w innym domu.

Dziwnem zaś jest, że właśnie te rośliny najbardziej ceni. Lubi róże — zapewne, lecz pełna gałązka żółtych kwieci złocienia jest jej znacznie miłszą. A dziwna ta predylekcja jest zupełnie instynktowną: nie kocha tych kwiatów bynajmniej dlatego, że są jadowitemi. O niektórych wie to bez wątpienia, nie

wyciągając atoli żadnych dalszych konsekwencji z tego faktu. Z drugiej strony zaś stwierdziłem w sposób najpewniejszy, że o jadowitości niektórych roślin i kwiatów swych nie ma pojęcia. Była niezmiernie zdziwioną, gdy jej powiedziałem, że ciemierniki i anemony są jadowite — a że i fjołki alpejskie niemi są, wprost mi wierzyć nie chciała. Nie może wcale być inaczej: owóż samo tajemne uczucie, które czyni jej tak sympatycznymi żaby i ropuchy, budzi w niej też zamiłowanie do jadowitych grzybów i roślin.

Zresztą z całą tą kwitnącą trucizną niczego właściwie nie poczyna. Czasem ją głaska, czasem też całuje szczególnie piękny kwiat — lecz czyni to także z najniewinniejszymi kwiatami brzoskwińniewemi, z fuksjami i zwyżlinami. Jedyna z roślin jadowitych, którą się czasami zajmuje, jest zarazem najbrzydsza z wszystkich — szalej. Co ona z nią czyni, nie mogłem nigdy stwierdzić, lecz widziałem, że zabiera czasami jedną z doniczek — ma ich cztery — do sypialni swej.

Muszę przerwać, kochany bracie — matka woła.

* * *

Matka wołała — tym razem musiałem pójść z nią do ogrodu zoologicznego. Chodzi tam często — i powiadam Ci, kochany bracie, zwierzęta są dla niej

zupełnie takie same, jak ludzie; każde z nich przylatuje, pcha się do kraty, gdy ona przychodzi. Co prawda, bierze z sobą zawsze kilka wielkich walizek ręcznych pełne żeru. Tym razem musiałem aż wlec z sobą mały worek — kasztany dojrzały i wysłano mnie najpierw do ogrodu, by zebrać wszystkie, które spadły z drzew. Że słonie i wielbłądy, niedźwiedzie i małpy, sarny i jelenie, a nawet króliki i świnki morskie poznają kogoś, co im zawsze coś przynosi, nie jest ostatecznie dziwnem, ani to, że się przyzwyczajają zachowywać, skoro raz zasoby już rozdane i jedno lub drugie z zwierząt nic nie otrzymuje. Lecz skąd pochodzi sympatja u owych zwierząt, których żywić nie wolno — lub których żeru — surowego mięsa lub ryb — istotnie przynosić z sobą nie można?

Pojmuję, że niedźwiadek skacze z radości, skoro sędziwa niewiasta zbliża się do kratki jego, by dać mu kawałek cukru i że płacze prawie jak człowiek, gdy się z nim żegna. Lecz nie rozumiem zupełnie, dlaczego stary marabu, który zresztą cały dzień stoi na jednej nodze wśród łąki i bardzo pogardliwie spogląda na ludzką hołotę, nagle, skoro matka się zbliża, przypomina sobie, że ma jeszcze drugą nogę. Że przybiega natychmiast, by wykonać zwarjowany jakiś taniec fakirów, który akompanjuje, klekocząc melodję jakąś starym swoim dziobem! Dlaczego

podnosi się tygrys z ciemnego swego kąta, zbliża się, przesuwa się przed kratami i wydaje z siebie dziwne tony. Dlaczego lwy morskie płyną przez wodę, wyłazą na brzeg i okazują najwidoczniej radość swą. Wszak wiedzą doskonale, że matka nie przynosi dla nich ryb, podobne jak dzikie zwierzęta wiedzą, że nie ma dla nich surowego mięsa!

Jedynie w ogrodzie zwierzę, które nie podziela tego nastroju radosnego, jest zarazem owem, które matka obdarza szczególną swą łaską. Należy do rasy dzikich, andaluzyjskich kóz górskich z Sierry Newady, jest to olbrzymi, szarawo-biały koziół. Drab ten stoi gdzieś z tyłu na skale i ani myśli zejść, podczas gdy kozy doń należące spierają o łakocie, które matka im podaje. Starego musi wołać, prawie prosić, by zeszedł. Wreszcie decyduje się, schodzi bardzo majestatycznie, zbliża się zwolna, miarowym krokiem, ku kratom. Bierze wprawdzie cukier: ale bierze go tak jak gdyby sprawiał tem wielką łaskę. Ma wspaniałą brodę, wielki, krzywy nos i parę szarych oczu. Krótkie rogi sterczą nad kudłatemi uszyna — rzeczywiście stary drab wygląda zupełnie po ludzku, jakby sam wielki bożek Pan. Czuć go, to prawda, i matka chętnie wyciąga flaszeczkę z wodą kolońską, by go nieco pokropić.

Zresztą popularność jej u rodu zwierzęcego nie ogranicza się bynajmniej na ogród zoologiczny. Każdy pies i każdy kot w tej chwili zawiera z nią przyjaźń, taksamo, jak to czyni każdy koń, stojący przed wozem na ulicy. W dzikiem winie i bluszczu, który obrasta dom nasz po stronie ogrodu, są tuziny ptasich gniazd, taksamo, jak w krzakach i na drzewach ogrodu. Szpaki i kosy są zawsze gośćmi naszymi, skoro siedzimy przy śniadaniu na balkonie. Mała, czerwona wiewiórka, mieszkająca gdzieś w ogrodzie klasztornym, przychodzi codziennie z samego rana do sypialni matki i zabiera sobie orzechy, które matka kładzie na swój stolik. — Latem do każdego domu wlatuje przez otwarte okno motyl jakiś; korzysta potem z najbliższej sposobności, by wydostać się znowu na wolność. Lecz myśmy tego lata z a w s z e mieli motyle w domu. Niektóre z nich zostawały po dwa, inne po trzy lub cztery dni; jeden, piękny pawik, bawił przeszło tydzień w buduarze matki. Od pewnego czasu zaś mamy nawet świerszcza w pokoju. Nie przyszedł sam z siebie jak motyle. Na jednym z wieczornych naszych spacerów przechodziliśmy obok piekarni, gdzie ćwierkał piosenkę swą. Matka weszła bezzwłocznie do sklepu, żądając od piekarza świerszcza. Ten uśmiechnął się i odpowiedział, że z pewnością

chętnieby go jej dał, gdyby tylko mógł go schwytać. Lecz jest to niesłychanie trudnem — świerszcz ten już od tygodni jest w piekarni, lecz nikt go jeszcze nie widział. Matka weszła tedy do samej piekarni — powiadam Ci, kochany bracie — małe, czarne zwierzątko to było pierwszym, cośmy zobaczyli na podłodze. Dało się spokojnie schwytać przez matkę i zanieść do domu w pudełku od zapalek.

„Przypadek!“, zawołasz, kochany bracie. „Wszystko to przypadek!“ Nie powiadam wcale, że to coś innego! Każdy z osobna z faktów, o których dotychczas Ci doniosłem, i o których jeszcze Ci napiszę, może być przypadkiem. Lecz potem zbierz wszystko razem — i powiedz mi, czy może być ciągle jeszcze mowa o „przypadku?“

Taki jest stosunek matki do ludzi, zwierząt i roślin. Zobaczysz zaraz, jak się odnosi do innych rzeczy.

Do klejnotów nie przywiązuje najmniejszej wartości. Nosi ciągle jeszcze małą, czarną broszkę emaljową z Twoim — czy moim? — pierwszym zębkiem. Klejnoty swe dawno już rozdarowała, niektóre leżą może jeszcze zapomniane w szafie. Dzieła sztuki wiszące i stojące w domu są Ci znane. Owe nieliczne z nich, które matka sama zebrała w ciągu życia, to wyłącznie niemal zwierzęta i potwory.

Wszędzie ropuchy, z bronzu i porcelany, potem ślimaki, szarańcze, jaszczurki i inne zwierzęta. Poza to zaś wszelkie możliwe istoty bajeczne. Ma wielką, bardzo piękną boginię „Bast“, to jest owa egipska pani, wiesz, z kocią głową. Matka twierdzi, że figura ta umie fruczeć jak żywa: trzeba tylko zamknąć oczy. Lampy na biurku jej, obok łóżka i na innych miejscach są kopjami bronzowymi smoczych głów, wypływających wodę z Notre-Dame. — Powiadam Ci, kochany bracie, że matka nasza zaprzyjaźniona jest z najdzikszyimi wytworami fantazji gotyckiej. Ma zdecydowaną predylekcję dla istot potwornych wszelkiego rodzaju, dla dziwacznych mieszanin z ludzi i zwierząt, wszystko jedno, czy są pochodzenia egipskiego, czy asyryjskiego, chińskiego, czy indyjskiego. Lecz wszystko co gotyckie, smać jednak najbardziej odpowiada jej smakowi. Posiada całe mapy z reprodukcjami, drzeworytami, drukami, fotografiami i t. p., które przegląda chwilami i chętnie pokazuje; cieszy się bardzo, gdy jej ktoś przyniesie nowy karton. Sądzę nawet, że kolekcja „Tentacji św. Antoniego“ jest prawie kompletną. Znamiennem przytem jest, że żadna książka nie jest miłszą, aniżeli utwór Flauberta, traktujący o tym przedmiocie — a przyznasz, że nie zalicza on się bynajmniej do lekkiej lektury. Jest to szczególnem, że matka nie

pamięta nazw wszystkich tych dzikich, djabelskich sekt, gnostyków i manichejczyków, ofitów, markończyków, pryscyłjan i t. d., podobnie jak zapomniała imiona proroków ich i czarowników Ireneusza, Szymona Magusa, Apollonjusza, Walentyniana, Markusa, Montanusa i innych. Ale: kult ich zna bardzo dokładnie i opowiada go słowami Flauberta.

Wszystko to wcale nie jest dziwnem. Dlaczego nie miałyby się interesować tem tak samo jak czemkolwiek innem? Ale czy można powiedzieć to samo, gdy idzie o — miotły? W ciemnym, wąskim korytarzu, wiodącym z innych pokoi do sypialni jej, ustawiła matka nie mniej aniżeli czterdzieścitrzy miotły, nowe i stare — zdaje mi się, że w domu naszym nigdy jeszcze nie wyrzuciono wysłużonej miotły. Pensjonuje się je, jak urzędników państwowych, wiszą rzędami po obu stronach wąskiego korytarza. Nie widzi się ich, gdyż ze strony schodów zasłona zakrywa korytarz — jest to jednak pewnem, że możnaby w domu znaleźć o wiele odpowiednie miejsca dla tej kolekcji mioteł. Ogromny spichlerz jest prawie zupełnie pustym, a obok kuchni, koło ogrodu również jest dużo miejsca — możnaby tam wygodnie pomieścić setki mioteł. Ale nie, stłacza je gęsto wszystkie razem w małym, wąskim korytarzyku obok sypialni swej!

Co więcej — jedna lub dwie wielkie miotły stoją w samej sypialni jej, za małą zasłoną w kącie, tam gdzie stoi toaleta jej.

Wiesz, że kilku bardzo tęgich lekarzy bywa u matki, nie zawodowo, lecz w charakterze przyjaciół. Mówi im wprawdzie zawsze, że nie mają o niczem pojęcia, jednak radzi ich się przy każdej drobnostce i spełnia przepisy ich sumiennie. Nie ma najmniejszej słabości dla szarlatanów i olejekarzy — jednak sama fuszeruje bezustannie. Nie leczy samej siebie — ale całe sąsiedztwo i to zawsze z zadumiewającym skutkiem. Zakres jej, co prawda, jest dość ciasnym. Usuwa ona tylko nagniotki, jęczmienie, brodawki i piegi. Na nagniotki używa brązowej maści, którą sama preparuje; nacierając nią nogę, trzeba trzy razy zmówić „Ojcze nasz“. Przeciw jęczmieniom „Ojcze nasz“ widocznie nie pomaga; kuracja jest nieco bardziej skomplikowana, a najskuteczniejszym przytem środkiem pomocniczym jest „Ave Maria“. Naciera jęczmień ślubnym swym pierścionkiem, najchętniej przy świetle księżycowem — trwa to trzy „Ave Maria“. Traktowanie brodawek trwa nieco dłużej. Istota obrośnięta brodawkami musi przez dwa tygodnie przychodzić co drugi dzień i dostaje trochę zielonej maści. Podczas gdy ta się suszy — najlepiej na słońcu — trzeba modlić się

„De profundis“. Że ta kuracja skutkuje, nie podlega wątpliwości; widziałem na własne oczy, jak pół tuzina silnych brodawek powoli znikło. Jeszcze ciekawszem jest leczenie piegów; procedurę tę przeprowadza się tylko na wiosnę. W ostatnich trzech tygodniach kwietnia, młode dziewczęta — nie słyszałem jeszcze o chłopcu, któryby był przebył tę kurację — zrana i wieczorem nacierać sobie muszą twarz maścią, w tym wypadku niebieskawą, i zmawiać przytem parę „Salve Regina“. Zważywszy, że matka zalicza do pacjentek swych nietylko pobożne katoliczki, lecz również córki protestantów, żydów i wolnomyślicieli, wymaga, by przedtem modlitwy tej wyuczyły się dobrze na pamięć, podobnie jak „Ave“ i „Ojciec nasz“.

Pierwszego maja dziewczyna musi wstać bardzo wcześnie, i nie wypowiedziawszy przedtem słowa, wybiedz do ogrodu. Tam musi się rzucić na trawę i wycierać nią twarz swą, kąpać ją porządnie w rosie pierwszego dnia majowego. Następnie znowu przez trzy tygodnie nacierać się maścią i zmawiać „Salve Regina“ — wówczas piegi znikają! A mówię Ci, kochany bracie, że znikają istotnie — zupełnie tak samo jak jęczmienie i brodawki i nagniotki. Mała Szarlotka, córeczka doktora, wierzy w matkę i twierdzi, że rozumie o wiele więcej od ojca jej, który nie umiał poradzić jej na piegi — a jeżeli twierdzi, że

jest tylko lekarzem na nerwy, a nie od nagniotek, to jest to czcą wymówką! A i doktor sam jest bardzo zadowolony z gładkiej twarzyczki Szarlotki swej i oświadcza, że chętnie się zgadza na tę konkurencję, a nawet przyjmuje chętnie „Salve Regina“ i cały hokus pokus. Matka posiada też całą skrzynię pełną zasuszonych koników morskich — te bowiem, zaszyte do spodni lub spódnic, są znakomitym środkiem na hemeroidy. Zdaje się jednak, że w mieście naszym cierpienie to jest mniej rozpowszechnionem. W każdym razie nie znam nikogo, coby używał konika morskiego, wyjąwszy pewną starą praczkę. Ta, co prawda, twierdzi, że jest to znakomity środek.

To wszystko jest nieszkodliwą zabawką. Lecz wiele mniej niewinnem jest coś innego. Matka nie wróży nigdy, nigdy nie czyta z ręki, z kart ani z innych rzeczy. Gdy mowa o tem, oświadcza zawsze, że to wszystko głupstwa. Natomiast — ż y c z y. Nie czyni tego często, tylko parę razy do roku. Lecz zawsze z skutkiem zdumiewającym. Jest to wprost niesłychanem, co ludzie o tem opowiadają. Skoro ktoś, co był dla niej uprzejmym, czuje się bardzo nieszczęśliwym, to życzy mu „czegoś dobrego“. Nigdy nie określonego, zawsze tylko: czegośkolwiek. Pewien młody rzeźbiarz był w domu jej przez długie lata; przypadkiem dowiedziała się, że literalnie

umierał z głodu i że od długiego czasu nie zarobił ani feniga. Przy następnej wizycie jego, zaprowadziła go samego do ogrodu i powiedziała mu, że w przyszłych tygodniach będzie miał dużo szczęścia. Pytał się naturalnie o szczegóły, ale nie chciała mu ich zdradzić. Tylko: że będzie miał szczęście, że będzie mu tego „życzyć”. W ciągu miesiąca artysta sprzedał pięć rzeczy na wystawie, poza-tem dostał zamówienie na bardzo duży nagrobek i na trzy biusty. Słyszałem tę historję od niego samego; matka nigdy nie mówi o podobnych rzeczach. Dodał, że w owej chwili, gdy matka mówiła do niego w ogrodzie, nabrał niezłomnego przekonania, że jest istotnie w stanie „życzyć szczęścia”. Co prawda stwierdziłem, że w tym wypadku przynajmniej, matka skorygowała nieco szczęście: dwie z rzeczy na wystawie kupiono wskutek jej interwencji; jedną nabył dyrektor muzeum, drugą bankier jej. Lecz inne? — Przypadek! Tak, zapewne, wszystko jest tylko przypadkiem!

Znasz chyba anegdotkę o uczniu, któremu pan profesor wytłumaczył chce pojęcie „cudu”? „Wyobraźcie sobie”, powiada do klasy swej, „że idę na wysoką wieżę tumu kolońskiego. Dostawszy się na górę, czuję nagle zawrót głowy i staczam się na dół. Lecz chociaż uderzam o twarde bruk, nie mi się nie

staje — wszystko jest zdrowe i całe, niema nawet najmniejszego zadraśnięcia. Co to jest?‘ A mały Moryc, z sceptycznego rodu, odpowiada: ‚Przypadek, panie profesorze!‘ — ‚Dobrze‘, mówi profesor, ‚może być, że to przypadek! Lecz na drugi dzień znowu idę na wieżę, znowu dostaję zawrotu głowy, znowu spadam — i znowu nic mi się nie staje. Jakbyś to teraz nazwał?‘ — ‚Szczęście!‘, odpowiada niewierny Moryc. Ale cierpliwy nauczyciel nie traci kontensu. ‚Przypuśćmy‘, ciągnie dalej, ‚nazwij to szczęściem. Lecz wyobraź sobie teraz, że w następne dni znowu idę na wieżę, znowu dostaję zawrotu i za każdym razem znowu spadam. Poraz trzeci, czwarty, piąty! Łagodnie unoszą mnie wietrzyki i dobijam do kamieni w głębi, nie tracąc ani włoska. Powiedz mi, Moryc, jakbyś to teraz nazwał?‘ — ‚No teraz to już w p r a w a!‘, odpowiada niepoprawny Moryc.

Istotnie, kochany bracie, u matki to już także jest więcej niż czysty przypadek! Musi to być co najmniej ‚wprawa!‘

Niestety matka nasza nie poprzestaje na życzeniu ‚dobrego‘. Zapewne, że musiał ją już ktoś głęboko urazić, zanim się zdecyduje, życzyć mu ‚złego‘. Chętniebym z nią był raz o tem pomówił, lecz odmawia wprost pogadanki na ten temat. To, co tu podaję, słyszałem tylko od innych, gdyż sam nie

miałem jeszcze sposobności, obserwować. Ci „inni“ zaś są ludźmi wszelkich stanów i zawodów. Zadałem sobie trudu wypytywania się niemal każdego, który przychodził do nas, począwszy od rzemieślników i dzieci z sąsiedztwa, a skończywszy na artystach, profesorach, lekarzach, adwokatach i bankierach. Stosownie do wykształcenia swego i do kierunku swego umysłu, każdy to w inny sposób interpretował. Jeden, ruszając ramionami, mówi o przypadku, drugi, z pewnym dreszczem o tajemnej jakiejś władzy. Lecz — faktu samego nikt nie zaprzecza. Oto przykład: służąca, której matka dużo uczyniła dobrego, uciekła pewnego dnia, okradła ją w sposób najnikczemniejszy. Ochłonawszy z pierwszego strachu i stwierdziwszy jako tako rozmiary kradzieży, oświadczyła, że Kasi — tak było na imię dziewczynie — niebawem przydarzy się wielkie nieszczęście. Nie minęło dziesięć dni, a wyciągnięto z Renu trupa służącej. Płynęła łódką wraz z innymi i utonęła, gdy łódka przewróciła się w falach parowca, podczas gdy wszystkich innych ocalono. Kiedyindziej kuzynka, prowadząca matce książki, stwierdziła, że w pewnym interesie, w którym od lat kupowała, systematycznie ją oszukiwano. Matka bardzo tem się gryzła, nie dla straconych pieniędzy, a jedynie dlatego, że miano ją za tak głupią, że

można ją okradać. W trzy tygodnie później włamano się do owego interesu, wypróżniono kasę i skradziono mnóstwo cennych rzeczy. Schwytano wprawdzie później złodziei, lecz dopiero gdy już wszystko przechulali.

Chłopak z sąsiedztwa, któremu pozwoliła bawić się w naszym ogrodzie, pewnego dnia z czystej swawoli ściął młodą brzozę, drzewko, które matka sama zasadziła i bardzo kochała. W parę dni potem dostał równocześnie szkarlatyny i dyfterji. Gdy był między życiem a śmiercią, rodzice jego w najwyższym rozdrażnieniu przyszli do matki — słyszeli, że matka chłopakowi „życzyła czegoś złego“. Wiedzieli, co dziecko ich nabroilo i byli o tyle rozsądni, że nie czynili matce nawet najłżejszego zarzutu. Powiedzieli tylko, że to ich jedyne dziecko i prosili matkę, by mu przebaczyła i by się nad nim zlitowała. Naturalnie, że matce odrazu żal się zrobiło i że płakała wraz z rodzicami. Odesłała ich potem, zapewniwszy ich, że dziecko znowu wyzdrowieje. Kuzynka nasza Berta, która była obecną przy tej rozmowie, opowiadała mi, że rodzice odeszli pełni radości i z widoczną wiarą w prawdę tych słów. Gdy się oddalili, matka oparła głowę o ręce i siedziała bez ruchu przez jakie pięć minut. Potem mówiła z kuzynką o czemś całkiem innym, jak gdyby nic nie było zaszło. W rzeczy samej

choroba jeszcze w ten sam dzień inny wzięła obrót; w krótkim czasie chłopak wyzdrowiał. Kuzynka Berta należy zresztą do tych, którzy przekonani są o szczególnym tym darze matki — miała też własne doświadczenia w tym względzie. Pewnego wieczora powinna była po nią przyjść, by pójść z nią na koncert, skutkiem jakiejś przeszkody atoli spóźniła się — co matkę snać nieco rozgniewało. Matka nasza gniewać się długo nie umie. Gniew pokonuje współczucie. W drodze do domu powiedziała do niej: „Zachorujesz niebawem, lecz nie będzie to nic niebezpiecznego!“ Po tygodniu kuzynka Berta bez wszelkiej uchwytniej przyczyny strasznie się przeziębiła; powiedziała mi, że dostała takiego kataru, iż wprost nic widzieć nie mogła. „Jestem zadowolona“, dodała, „że na tem się skończyło“.

Podobnymi przykładami, kochany bracie, mógłbym zapelnąć wiele jeszcze stron. Nieszczęście w interesach, wypadki, choroby fizyczne i psychiczne w najrozmaitszych warjacjach. I to aż do śmierci „przekłętego“ — wypadek, jaki chwala Bogu w nielicznych tylko wypadkach mogłem stwierdzić. Czy to wszystko zawsze jeszcze jest tylko „p r z y p a d k i e m“, kochany bracie? Lub czy nie myślisz,

że jest w tem też choćby cokolwiek „w p r a w y“, jak to zowie mały Moryc?

Ona zaś, matka, zdaje się być zupełnie zabezpieczoną od wszelkiego nieszczęścia. O wypadku swym automobilowym zapewne Ci pisała, ale niezawodnie tak na swój sposób, traktując go jako bagatelkę i żartując sobie zeń. Oto jak się ta historia odbyła. Na rogu ulicy Św. Marji i Św. Krzyża matka przechodziła przez trakt uliczny, przyczem dziesięcioletnia dziewczynka ją prowadziła. Obie były już prawie po drugiej stronie; dziecko stało już na trotuarze, podczas gdy matka właśnie nań wstąpić miała. W tej chwili nadjechało z poza rogu auto w najszybszem tempie, tuż obok brzegu ulicy, by wyminąć wóz ciężarowy, zbliżający się z drugiej strony. Woźnica spostrzegł matkę, zahamował bezzwłocznie i pōkierował na lewo, zwracając maszynę przeciw wozowi ciężarowemu. Za późno! Przednie koło uchwyciło matkę i rzuciło ją na trotuar; tam leżała w omdleniu obok dziecka, którego ręki nie wypuściła. Dziecko podniosło się i zaczęło krzyczeć; ludzie zanieśli bezzwłocznie zemdloną, sędziwą damę do sklepu narożnego. Znano ją tam bardzo dobrze; zatelefono w tej chwili po lekarzy i powóz dla transportu chorych. Tymczasem dano jej nieco czerwonego wina. Lecz po kilku minutach matka wróciła

do przytomności. Pierwszą jej troską było obmyć sobie ręce i wyszczotkować ubranie. Potem poprosiła, by odwołano lekarza i powóz, kupiła tuzin jaj i najspokojniej, jak gdyby nic nie było zaszło, wróciła do domu z małą towarzyszką swą. Spotkałem ją właśnie przed bramą. Dziecko drżało jeszcze wskutek strachu przebytego i ledwo było w stanie wypowiedzieć słowo. Matka wzięła je na górę i darowała mu książeczkę z bajkami i czekolady — o zdarzeniu dowiedziałem się dopiero nazajutrz. Automobil zaś był zupełnie rozbity; szofer zraniony śmiertelnie. Jest teraz na drodze polepszenia i zdaniem lekarzy wyzdrowieje zupełnie. Matka odwiedziła go w szpitalu. On sam sądzi, że zawdzięcza to nadspodziewanie szczęśliwe i rychłe wyleczenie się o wiele bardziej naszej matce, aniżeli lekarzom.

* * *

Czasami, o zmroku, matka siedzi w ogrodzie i opowiada dzieciom z sąsiedztwa bajki. Te siedzą naokoło niej i gapią się na nią dużemi oczyma i rozwartymi ustami. Zajmowało mnie, czy opowiada im o „Sneewittchen“, czy o „Ruebezahlu“, o „Wytrwałym żołnierzu cynkowym“, czy o „Dziewczynce z czerwoną czapeczką“. Usiadłem więc pewnego wieczora w pobliżu i zakryłem się gazetą. Nie opo-

wiała żadnej z tych bajek. Żadnej bajki Grimma lub Bechsteina lub Musaeusa, które nam opowiadała, gdyśmy jeszcze byli dziećmi. Żadnej bajki Andersena, Wildego lub Dumasa ojca. Nie są to wogóle bajki, to co im opowiada. Dzieci tylko tak je zowią, gdyż brak im innego wyrazu. Są to raczej krótkie, liryczne wylewy lub obrazki nastrojowe, jeśli tak rzec można. Lecz wrażenie, jakie wywołują, jest zdumiewające: gdy matka zamilkła, dzieci długo jeszcze siedziały, patrzyły w powietrze jakby zhypnotyzowane i widziały dziwny obrazek nocny, namalowany głosem starej kobiety. Za gazetą swą zanotowałem sobie parę z nich. Oto jeden:

„Siedziało ich dwanaścioro w kupie, czarownice i czarodzieje. Jedli zupę piwną. A jako łyżka służyła każdemu z nich przednia kość ręki szkieletu.

„Węgłe w kominie żarzyły się czerwone, świece dymiły się, a z talerzy wiał zapach świeżych grobów.

„Skoro Maribas się śmiał, lub skoro płakał, brzmiało to, jak gdyby stary smyczek jęczał na trzech strunach połamanych skrzypiec.

„Najstarszy z czarowników zaś otworzył księgę czarów przy świetle świcy. Biegła po niej mucha, której skrzydła były spalone.

„Mucha brzęczała; przylazł wielki pajak, żółty pajak o grubym włosistym brzuchu.

„Ale czarodzieje jeździli na miotłach i na cęgach — Maribas był na czele ich.“

Czasem matka pokazuje dzieciom grę palcową. „Oto jest kciuk, który strząsa śliwki —“, czy przypominasz sobie, bracie? Lecz nie, dzieci słyszą dziś pod starą gruszą coś innego.

„Kciuk — to gruby gospodarz z tam nad Renem, tłusty i wesół, pali sobie i siedzi przed drzwiami oberży swej i pije dobre piwo.

„Palec wskazujący — to jego żona, cienka i chuda jak śledź, krzyczy i zrzędzi cały dzień.

„Palec środkowy — to syn, taki olbrzymi chłop; ten chciałby chętnie zostać żołnierzem, gdyby nie był pomocnikiem w browarze.

„Palec pierścieniowy — to zręczna córka Kasia; handluje cebulami.

„Ale ten maleńki, Benjaminek, trwożliwy i płaczkliwy, ryczy cały dzień jak małe dziecko, wi-szące w zębach wilkołaka.“

Każdy nauczyciel i każda nauczycielka bez kwestji powie, że rzeczy podobne są zupełnie niemożliwe dla dzieci. I zapewne, byłyby one „zupełnie niewłaściwemi“, gdyby ktoś inny je opowiadał. Lecz skoro matka je opowiada, to z drobnych tych rzeczy

wykwita czarodziejski świat romantyki. Dzieci widzą grubego gospodarza, widzą żonę jego chudą jak śledź. Śmieją się głośno z syna, długiego draba, i zręcznej córki, handlującej cebulami i płaczą z małym, rozpieszczonym chłopakiem, którego pożreć ma wilkolak. Założyłbym się, że jeszcze po trzydziestu latach, skoro jedno z nich ujrzy brzuchatego gospodarza, nazwie go „kciukiem“.

Lecz wszystkie strachy nocy budzą się, skoro matka rozpoczyna: „Siedziało ich dwanaścioro w kucpie, czarownice i czarodzieje. Jedli zupę piwną —“ Żadne z dzieci nie jadło jeszcze w życiu zupy piwnej, która wszak zupełnie wyszła z mody. Lecz każde może sobie dobrze wyobrazić, co to jest, jak to smakuje. Czarownice i czarodzieje są tematem wszystkich bajek, lecz mieszkają gdzieś daleko w jakimś kraju księżycowym. Czarownice zaś, które jadają piwną zupę, mieszkają nad dolnym Renem i w Holandji i w Flamandji — można się z niemi spotkać co nocy. Te dzieci pod gruszą spamiętają sobie historje o zaczarowanej królewnej i o „Sneewittchen“ i o dziewczynce z czerwoną czapeczką dlatego tylko, że widzą je w teatrze. Piękne bajki Dickensa i Hauffa i Wildego zaś zapomną tak dalece, że nie będą nawet w stanie opowiedzieć ich dzieciom

swym. Lecz obraz, jak czarownice jedzą zupełną piwną i jak po księdze czarów pajak w najbliższym czasie lazi za muchą o spalonych skrzydłach, tego obrazu nigdy nie zapomnę.

* * *

Pozwól mi, kochany bracie, bym raz jeszcze zestawił wszystkie fakta, o których Ci doniosłem. Skoro łatwo sam się przekonać możesz, że niczego nie przesadziłem, że raczej osłabiałem wszystko, gdyż starałem się patrzeć na te rzeczy jaknajtrzeźwiej.

Matka cieszy się nadzwyczajną popularnością u wszystkich, którzy ją znają, u ludzi każdego wieku i każdej płci. Podobne dziwne przywiązanie okazują jej wszystkie zwierzęta. Zdaje się prawie, że nawet rośliny dzielają to uczucie: kwitną pięknie i trzymają się o wiele dłużej u niej niż, o ile obserwować mogłem, w jakimkolwiek innym domu. Z zwierząt koty, ropuchy i kozły są jej ulubieńcami; z roślin wszystkie możliwe grzyby jadowite i jadowite rośliny. Matka usuwa z nieomylnym powodzeniem brodawki, jęczmienie, piegi i inne złe rzeczy i używa do tego procedury bądźco bądź dość niezwyklej. Sama, mimo podeszłego wieku swego jest nader czerstwą i zdrową i tak zdumiewająco świeżą cielesnie i duchowo, że ludzie zawsze na nowo się dopy-

tuja o jej „eliksyr życiowy“. Podczas gdy sama zdaje się być zabezpieczoną przeciw wszelkim wypadkom — na innych ludzi sprowadzić może w oka mgnieniu choroby i „życzyć“ im innych dolegliwości. Podobnie z drugiej strony może im życzyć „szczęścia“. Dalej matka ma szczególne zamiłowanie do dziwacznych istot bajkowych. Preparuje szczególne jakieś maście i posiada dziwny zbiór starych miotel. Podczas pewnych godzin w czasie pełni księżycowej wpada w stan ekstazy i wówczas duch jej daleko od ziemi odlatuje.

Dziesiąta część tego wszystkiego byłaby naturanie przed niewielu wiekami wystarczyła, by ją stracono na stosie jako czarownicę. Tymczasem nabraliśmy tak nieskończonej mądrości, tak zdumiewającego wykształcenia, że tylko z uśmiechem politowania myśleć jeszcze możemy o ciemnych czasach „wierzenia w czarownice.“

Mamy co prawda i dziś w wszystkich miastach Europy i Ameryki setki tysięcy czarownic i czarowników, którzy doskonale się utrzymują z tego rzemiosła: w wielkich miastach nie ma ulicy, na którejby nie mieszkali znawcy horoskopów, kobiety, czytające z kart, przepowiadaczy przyszłości i wróżbiarki wszelkiego rodzaju. Sekty teozoficzne i mistyczne wyrastają wszędzie jak grzyby, wy-

rastają czasem na wielkie organizacje religijne. Niedawno temu byłem obecny na zebraniu teozoficznym, na którym po wykładzie przewodniczącego przeszło sto osób należących do klas wykształconych — a jakże! — z całą powagą dyskutowało o różnicach t. zw. magji białej i czarnej — przyczem surowo tę ostatnią potępiano. Ani jeden z wszystkich tych ludzi nie miał najmniejszego pojęcia o tem, że cała ta sławetna różnica opiera się jedynie na śmiesznym błędzie drukarskim: oto słowo „nekromancja“ w średnich wiekach przekręcono na „nigromancję.“ Lekarzy — cudotwórców za naszych czasów jest o wiele więcej niż kiedykolwiek dawniej, a wszyscy robią doskonale interesy. Parę dni temu dopiero „Jezus z nad dolnego Renu“, który za dwadzieścia marek drogą karty pocztowej „przyłączał“ pacjentów do świętego swego ciała, zwinął „interes“ swój i przeniósł się do Szwajcarii. Poczciwiec ten praktykował w mieście naszym zaledwie rok jeden i zarobił w tym czasie parę milionów. Do wszystkich tych oszustów biegnie tłumnie ta sama publiczność, która czułaby się bardzo obrażoną, gdyby ją podejrzowano o wiarę w czarownice. Nader chętnie święci czasów naszych obwieszają się płaszczykiem indyjskim, nie mając najmniejszego zrozumienia jak głęboko różni się nauka indyjska od istoty

naszego zachodu. A że owe ziarenko prawdy, które leży na dnie wszystkich szarlatanerii, pochodzi właśnie z średnich wieków, o tem nie mają najmniejszego wyobrażenia. Nie mówiąc już o tem, że wieki średnie skorumpowaną mądrość swą na rozmaitych krętych drogach czerpały z „gnosis“, a że ta pochodzi od Chaldejczyków i Babilończyków, którzy z swej strony czerpali u Akadów. —

Lecz gotyka stała się modną tylko w sztukach pięknych, zresztą jest dziś pogardzana. Dlatego wskazówki, zebrane przezemnie, będą dla Ciebie tak mało przekonywujące, jak dla innych dzieci czasów naszych. Jednak ciekaw jestem, kochany bracie, jakie będzie zdanie Twe o następującem zdarzeniu:

Siedzieliśmy onegdaj po kolacji u matki dookoła stołu z jakich osiem panów i pań. Mówiono o sztukach kuglarzy indyjskich, a jeden z panów zademonstrował znaną rzecz z szpilkami: wbił sobie długie szpilki od kapeluszy do policzków i z muskułów dolnej części ręki swej uczynił piękną poduszeczkę na szpilki. Indyjscy fakirzy pokazują te rzeczy z prawdziwą doskonałością i są pozornie zupełnie niewrażliwi na znacznie gorsze uszkodzenia spowodowane gwoździami, rozżarzonemi węglami i t. d. Sztuczka, którą często widziałem, i której sam spróbowałem, jest wcale prostą: niema w niej nic,

aniżeli trochę wprawy i siły woli. Drobne uszkodzenie wierzchniej skóry wprawdzie zawsze trochę boli, ale ból ten łatwo można znieść. Wybiera się naturalnie takie miejsca ciała, w których wykluczonem jest uszkodzenie jakiegoś organu szlachetniejszego, najlepiej mięśnie, opycha się igłami, gwoździami, szydlami szewskimi i do tego się uśmiecha — działa to zawsze frapująco. Jedyne niebezpieczeństwem jest zatrucie krwi; najlepiej więc zdezynfekjonować wprzód dziecinne te narzędzia torturowe. Lecz skoro jednego z tych nieczułych zupełnie kuglarzy znienacka ukłuje się igłą, można założyć się o to, że uczuje ukłucie i przestraszy się. To mi nasunęło myśl zrobienia małej próby z matką. Jest nadzwyczajnie wrażliwą na najmniejszy nawet ból. Skoro przy szyciu ukłuje się w palec, napewno wyda głośny okrzyk. Otóż ma ona na szyji małe, blade znamię. Gdym ją całował na dobranoc i obie ręce kładłem około jej szyji, ukłułem ją w to znamię małą szpilką. Nie czuła nic. Udawałem tedy szczególnie czulego, nie wypuszczałem jej, całowałem ją raz po raz — i przy tej sposobności wbiłem jej szpilkę aż po główkę w ową plamkę. Nie zauważyła tego z goła. Wiesz, że oprawca przed każdą torturą rozbierał czarownice i szukał szpilkami tak zwanych znamion guślarskich

miejsc zupełnie nie czułych — o matce naszej on i sędziowie byliby sobie wytworzyli sąd bardzo rychło. Tegoż wieczora mogłem znowu obserwować matkę naszą w pełni księżyca. Siedziałem ukryty na kanapie narożnej, widziałem jak otworzyła drzwi sypialni swej i weszła. Usiadła na fotel w samem świetle księżycowem, przyglądała sobie srebrne włosy pod czarną koronkową chusteczką i spoglądała przez otwarte okno — matka nasza wyglądała cudownie. Siedziała nieruchoma; ulica pogłębiona była w ciszy całkowitej, w pokoju panował spokój najzupełniejszy. W tej chwili odezwał się świerszcz matki. Cieniutko i delikatnie, o wiele ciszej niż zazwyczaj ówierczy. Lecz zdawało się, że zwierzątko się obawiało przerwać tę świętą ciszę. Rychło znowu śpiew jego ustał. Oko me szukało świerszcza po pokoju. W chwili, gdy znowu spojrzałem na matkę, widziałem, jak coś zeskoczyło z niej? — Obok niej? Nad nią? — Nie wiem. Ale nie świerszcz, o nie, coś wielkiego, szarego. Spadło na dywan, lecz nie słyszałem najmniejszego szmeru. Potem wskoczyło na mały szeszlony przed otwartem oknem, leżało przez chwilę na żółtem futrze guanaka, wówczas zauważyłem, że był to wielki kot. W następnej chwili szare zwierzę siedziało na oknie — potem wyskoczyło. Mimowoli przeląknęłam się. Lecz

i teraz nie słyszałem najłżejszego szmeru. Pospie-
szyłem bezzwłocznie do okna — zastanowiłem się
przez chwilę, gdyż w wysokości ucha mego usły-
szałem wyraźnie mruczenie jakieś. Odwróciłem się
— tuż obok mnie stała Bast, kocia głowa bogini,
o której matka twierdzi, że umie fruczeć. Nie sły-
szałem nic więcej, była to może tylko jakaś chwilowa
halucynacja. Poszedłem dalej do okna, wyglądałem.
Tuż pod oknem siedział szary kot, który potem
zwolna powstał i spokojnie szedł dalej. Widocznie
skok z pierwszego piętra na kamienie wcale mu nie
zaszkodził. Nie mając świadomości właściwej przy-
czyny postępowania mego, zbiegłem po schodach,
otworzyłem bramę i wyszedłem na ulicę; widziałem,
jak kot o parę kroków dalej przekroczył trakt
uliczny. Szedłem za nim w pewnym oddaleniu. Szedł
przez ulicę, jak gdyby miał jakiś cel określony.
Nie zakradał się kocim sposobem wzdłuż domów,
lecz spokojny i dumny szedł środkiem bezludnych
zupełnie ulic.

Zastanawiałem się nad tem, w jaki sposób
mógł się być dostać do domu naszego. Bo aczkolwiek
matka bardzo lubi wszystkie koty, jednak nigdy
żadnego w domu nie miała. Zrozumiałem nareszcie,
dokąd zwierzę zmierzało. Szło wprost na cmentarz
— może chce tam klusować, myślałem. Tuż przed

ementarzem usłyszałem parę pijanych głosów męskich, widziałem potem, jak dwóch panów szczoło pięknego brązowego jamnika na kota, który atoli wcale nie przerywał spokojnego swego chodu. Zuchwały, mały jamnik od razu skoczył nań; w jasnym świetle księżycowym widziałem wyraźnie, jak go zębami uchwycił za lewe ucho. Lecz kot otrząśł go, skoczył na bok i sam teraz go zaatakował. W momencie siedział na karku psa i wbił weń pazury swe; biedak tak się przeląkł, że uciekał tak szybko jak tylko mógł. Tak tedy kot na krzywonogim koniku zajechał na cmentarz. Za krzakami słyszano rozpaczliwe skowyczenie i skomlenie, potem jamnik, krwawiący na całym ciele, wrócił z schowanym ogonem i bardzo zawstydzony wskutek haniebnej swej porażki. Wyglądał tak śmiesznie, że musiałem się śmiać razem z panami, którzy dobrodusznie go pocieszali. Potem szedłem dalej, ku grobom. Lecz kot znikł; zatem z wolna wróciłem do domu.

Gdym wszedł do buduaru matki, siedziała zawsze jeszcze w tej samej nieruchomej pozycji. Przystąpiłem do niej, ucałowałem ją w czoło, wtedy zauważyłem — że całkiem u góry, na brzegu lewego ucha jej krwawiło się.

Na tem właśnie miejscu jamnik uchwycił był ucho szarego kota. —

Cóż znowu? Cóż znowu —?

Matka siedziała tu, tu na tem samem miejscu, nie ruszała się stąd przez cały czas, ani dziś, ani w innych nocach. Ciało jej nie ruszało się, ciało nie! Ale — duch jej?

I stąd — z tego miejsca — szary kot —

Potem matka — nasza matka —

Skombinuj sobie to, bracie, jeśli potrafisz!

Szary kot łaził po grobach...

* * *

Gdym schodził nazajutrz zrana na śniadanie, serce lekko mi biło. Ach może to wszystko tylko mi się śniło.

Matka siedziała spokojnie i piła herbatę. Na lewem uchu, całkiem u góry, z brzegu, miała mały, czarny plasterek.

„Co masz na uchu?“ zapytałem.

„Nie wiem“, odpowiedziała zupełnie spokojnie.

„Zapewne się skaleczyłam, ale nie wiem w jaki sposób. Poduszka ma była dziś zrana zupełnie zakrwawioną.“

Brzmiało to zupełnie niewinnie, zupełnie szczerze — nie, nie mogła tego udawać!

— Tak już jest: matka jest wilkołakiem i nie wie o tem!

* * *

Tego wieczora siedziałem sam z matką. Ga-wędziliśmy długo i bardzo serdecznie, piliśmy przy tem jak zazwyczaj wino mozelskie. Nie spostrzegłem tego wcale, że odkorkowałem już drugą i trzecią flaszkę. Matka śmiała się. „Zapijasz się dziś!“ rzekła. „Czy rzeczywiście?“ odpowiedziałem, „Bóg świadkiem, że wcale tego nie zauważyłem!“ — „Pij tylko,“ — kiwnęła głową — „cieszę się, jeżeli wino ci smakuje!“

Zazwyczaj nie pijam więcej niż matka, dwie, najwięcej trzy małe szklaneczki — tego wieczora bez żadnego powodu wypilem cztery flaszki. A potem uczynilem coś, co mi się jeszcze nigdy w życiu nie przydarzyło: piłem sam. Gdym poszedł na górę do pokojów swych, dostałem nagle gust na „highball.“ Przyniosłem sobie whisky i parę flaszek sodowej wody.

Musiałem czekać parę godzin aż weszeli księżyc. Siedziałem w pokoju swym, paliłem i piłem jedną szklanekę whisky po drugiej. Jednak, gdym znowu zeszedł na mą pozycję obserwacyjną, czulem się zupełnie świeżym — było mi nawet tak, jak gdybym tej nocy o wiele jaśniej mógł widzieć i myśleć.

Niebawem nadeszła matka. Siedziała znowu w fotelu swym, tak jak wczorajszej nocy. Z czarną

chusteczką koronkową na srebrnych włosach — w pełnym świetle księżycowym. Siedziała bez ruchu.

Potem ujrzałem nagle starą miotłę opartą o fotel. Nie mogłem pojąć, skąd się tam dostała — ale była tam. Przetarłem ręką oczy — potem wstałem, poszedłem do niej, uchwyciłem miotłę obiema rękoma, by się całkowicie przekonać. Przed nią na stole zauważyłem małą okrągłą puszkę: otworzyłem ją: była w niej zielona maść. Powoli wróciłem na swe miejsce.

Potem widziałem, jak matka podniosła obie ręce, jak zdjęła z głowy chustkę koronkową. Jak wyciągnęła szpilki z włosów, jedną po drugiej; jak włosy w nieładzie spadły. Uchwyciła miotłę, otworzyła małą puszkę — i zieloną maścią nasmarowała miotłę. Nie wiem, jak się to stało — ale teraz na niem siedziała, jeździła, uniosła się w górę, wyleciała otwartem oknem.

Słyszałem głos jej wołający:

„Dalejże, dalej! Hallo, pod górę, nie stawać nigdzie!“

I widziałem, jak jeździła przez powietrze.

Były tam inne, jeździły na miotłach i cęgach — lecz były też chmury i obłoki, tak, że nie mogłem ich rozpoznać dokładnie.

Był tam pagórek, stały na nim krótkie pnie olszowe. Koziół na środku, wielki koziół — och, ów andaluzyjski ze Sierry Newady! Krótkie rogi jego świeciły nad zebraniem. —

A czarownice tańczyły w koło, odwracając twarze na zewnątrz. „Hasaj, hasaj!“, wołały. „Djable, djable! Skacz tam, skacz tu! Hasaj tam, hasaj tu! Graj tam, graj tu!“

Lecz widziałem to jak przez mgliste zasłony, gdzieś daleko nad łąkami olszowemi. —

— A jednak siedziała przedemną, matka nasza, nieruchoma na fotelu swym, w promieniach księżycy.

* * *

Nie wiem, kiedy usnąłem tej nocy. Obudziłem się wczesnym rankiem, lecz było już jasno. Wytarłem sobie sen z oczu, spostrzegłem, że siedzę skulony, zmarznięty w kącie kanapy.

Wstałem; matka dawno wyszła.

Lecz obok miejsca jej stała stara miotła, na stole puszka z zieloną maścią.

Zdawało mi się, że się ze mnie śmieją.

Powoli kroczyłem przez pokoje, poszedłem na górę. Rozebrałem się, umyłem się, położyłem się do łóżka. Spałem tego dnia aż do południa.

* * *

Oto wszystko, kochany bracie. Nie wiem, czy Cię przekonało. Cokolwiek uczynisz, rozważ dobrze.

Po trzech tygodniach doktor Kasper Krazykat otrzymał następującą odpowiedź:

„Jak Pan wiesz, kochany szwagrze, jesteśmy od wczoraj zaślubieni. Mąż mój dał mi długi list Pański zaraz po jego nadejściu. Przeczytaliśmy go razem. Z początku śmieliśmy się i zapatrywaliśmy na to wszystko bardzo sceptycznie. Lecz muszę przyznać, że czem bardziej się zagłębiali w treść listu, tem poważniej rzecz nam się przedstawiała. Rozważyliśmy bardzo dokładnie wszystko, co Pan nam o matce napisał i kilkakrotnie jeszcze czytaliśmy list Pański. Mówiąc krótko, kochany szwagrze, osiągnąłeś Pan zupełnie to, co Panu szło: przekonałeś Pan zarówno brata swego jak i mnie.

Tylko, kochany szwagrze, żeśmy z tego inny wyciągnęli wniosek.

Pobraliśmy się i mam nadzieję, że obdarzę męża mego potomstwem. Być może, że będą tam i dziewczątka jakieś — w takim razie nie miałabym gorętszego życzenia ponadto, by wszystkie zostały takimi miłymi, słodkimi czarownicami jak matka.“

Doktor Kasper Krazykat czytał te słowa w głębokiej, tajemnej zadumie.



„RENAISSANCE”

INSTYTUT WYDAWNICZY

Wydawca: ŁUCJAN FRANK ERDTRACHT

Polska : Lwów, Kopernika 3 (Księgarnia Nowości). — Austria :
Wiedeń I, Johannessgasse 14. — Niemcy : Berlin, Kurfürstendamm 150;
Lipsk, Salomonstraße 16. — Ameryka : New York 105, Madison
Av. — Rumunia : Bukareszt, Mihai Voda 26. — Węgry : Budapeszt,
Kolosvary utca 13.

Nakładem tegoż wydawnictwa ukazały się:

- D'Annunzio Gabriele : Notturmo.
Beer Prof. Fryc : Einsteina teoria względności
(6 wykładów dla laików).
Bettauer Hugo : Miasto bez Żydów.
Einstein Albert : Cztery odczyty o teorii względności
(z ryc.)
Einstein Albert : Eter a teoria względności.
Freundlich Prof. Dr. Erwin : Zasady Einsteina teorii
grawitacyjnej z przedmową profesora Einsteina.
Ewers Hans Heinz : Zmora nocy.
Ewers Hans Heinz : Żydzi z Jëb.
Ewers Hans Heinz : Zamarłe oczy.
France Anatole : Sinobrody i jego siedem żon.
Hauptmann Gerhart : Kacierz ze Soany.
Hauptmann Gerhart : Atlantis.
Hesse Herman : Demian.
Kautsky Karol : Teroryzm a komunizm.
Kautsky Karol : Rasa a żydowstwo.
Kuprin A. : Dom rozkoszy.
Loti Pierre : Rozczarowani.
Mann Tomasz : Śmierć w Wenecji.
Meyrink Gustaw : Golem.
Meyrink Gustaw : Zielone oblicze.
Meyrink Gustaw : Biały Dominikanin.
Meyrink Gustaw : Noc Walpurgji (Sabbat czarownic).
Meyrink Gustaw : Cudowny róg.
Meyrink Gustaw : Pisma.

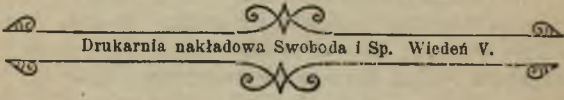
- Nikorowicz Ignacy**: Noc poślubna.
- Perutz Leon**: Między dziewięć a dziewięć.
- Perutz Leon**: Markiz de Bolibar.
- Perutz Leon**: Narodziny Antychrysta.
- Perutz Leon**: Cud drzewa mangowego.
- Reti Ryszard**: Nowe idee w grze w szachy.
- Schmidt Dr. Piotr**: Teorja i praktyka operacji wedle metody Steinacha.
- Schnitzler Artur**: Grecka tancerka.
- Schnitzler Artur**: Dusze w mroku.
- Spengler Oswald**: Upadek świata zachodniego (2 tomy).
- Steinach Prof. Dr. E.**: Odmłodzenie (przez eksperymentalne ożywienie starzejącego się gruczołu płciowego, z ryc).
- Wassermann Jakób**: Chrystjan Wahnschaffe.
- Wassermann Jakób**: Nigdy niecałowane usta.
- Wassermann Jakób**: Gęsiarek.
- Wassermann Jakób**: Dzieje młodej Renaty Fuchs.
- Wassermann Jakób**: Złote lustro.
- Wassermann Jakób**: Siostry.
- Wilde Oskar**: Obraz Dorjana Greya.
- Wilde Oskar**: Pleban i ministrant.
- Wilde Oskar**: Florentyńska tragedia.
- Wilde Oskar**: De profundis.
- Wertheim Prof. Dr. H.**: Odmłodzenie (dla laików).
- Biblioteka bajek pod redakcją Lucjana Franka Erdtrachta.**

Nakładem tegoż wydawnictwa ukazały się: *)

- D'Annunzio Gabriele**: Nokturn (Notturmo).
- Andrejew Leonid**: Dziennik szatana.
- Andrejew Leonid**: Nocna rozmowa.
- Blumental Herman**: Gilgul (powieść kabalistyczna).
- Bodève Simone**: Lolusia (opowieść z życia dzieci paryskiego proletariatu) z przedmową Romain Rollanda.

*) W języku niemieckim.

- Edon Ryszard A.:** Zdziczenie (szkic z życia współczesnego).
- Frank Łucjan:** Tragedja cesarska.
- Fröschels Prof. Dr. Emil:** Wolność wbrew prawom natury.
- Gelber Adolf:** Józef Popper-Lynkeus.
- Haidvogel Karl Juliusz:** Golgota.
- Hugo Wiktor:** Morderca wbrew woli.
- Ibanez V. B.:** Krwawa arena (madrycka opowieść z życia toreadora).
- Kaiser Jerzy:** Pisma (prozą).
- Kuprin A.:** Bagno (Dom rozkoszy).
- Kuprin A.:** Sulamit.
- Kuprin A.:** W cyrku.
- Liebstoeckl Dr. Hans:** Z niedzieli na poniedziałek (Teatr. Szkice literackie).
- Menkes Herman:** Żydówka Eleonora.
- Müller Robert:** Silny człowiek.
- Miljukow P. N.:** Historia rosyjskiej rewolucji.
- Nestroy Johann:** Tylko śmiało!
- Nordau Max:** Tragedja asymilacji.
- Nossig Dr. Alfred:** Program socjalizmu światowego.
- Nossig Dr. Alfred:** Socjalizm a mozaizm.
- Nossig Dr. Alfred:** Polacy a Żydzi.
- Petzold Alfons:** Sewarinde (awanturzysta opowieść).
- Poljeskin Jakób:** Marzyciele i bojownicy.
- Rochowański L. W.:** Fantastyczna buda.
- Roditschew J. F. i Nossig Dr. A.:** Bolszewizm a Żydzi.
- Rousseau Jean Jacques:** Fantazje samotnika.
- Sinclair Upton:** W szatańskich pętach.
- Tartakower Dr. Sawielly:** Oblicze rewolucyjnej Rosji (Poezja młodej Rosji).
- Tołstoj Lew:** Sens życia.
- Tołstoj Lew:** Życie płciowe.
- Trietsch Davis:** Niemcy a Żydzi.
- Vailiant Couturier Paul:** Jaś bez chleba (ilustrowane).
- Wilde Oskar:** Wierny przyjaciel.
- Wilde Oskar:** Latająca rakietka.



Drukarnia nakładowa Swoboda i Sp. Wiedeń V.

„RENAISSANCE”

INSTYTUT WYDAWNICZY

Wydawca: LUCJAN FRANK ERDTRACHT

Polska: Lwów, Kopernika 3 (Księgarnia Nowości). — Austryja: Wiedeń I. Johannesgasse 14. — Niemcy: Berlin, Kurfürstendamm 150; Lipsk, Salomonstraße 16. — Ameryka: New York 105, Madison Av. — Rumunia: Bukareszt, Mihai Voda 26. — Węgry: Budapeszt, Kolosvary utca 13.

Nakładem tegoż samego wydawnictwa ukazały się:

D'Annunzio Gabriele: Notturmo.

Beer Prof. Fryc: Einsteina teoria względności (6 wykładów dla laików).

Bettauer Hugo: Miasto bez Żydów.

Einstein Albert: Teoria względności (4 odczyty z rycinami).

Einstein Albert: Eter a teoria względności.

Einstein Albert: Geometria a doświadczenie.

Freundlich Prof. Dr. Erwin: Zasady Einsteina teorii grawitacyjnej z przedmową profesora Einsteina.

Ewers Hans Heinz: Zmora nocy.

Ewers Hans Heinz: Żydzi z Jéb.

Ewers Hans Heinz: Zamarłe oczy.

France Anatol: Sinobrody i jego siedm żon.

Hauptman Gerhard: Heretyk ze Soany.

Hauptman Gerhard: Atlantis.

Kautsky Karol: Teroryzm a komunizm.

Kautsky Karol: Rasa a żydowstwo.

Kuprin A.: Dom rozkoszy.

Loti Pierre: Rozczarowani.

Mann Tomasz: Śmierć w Wenecji.

Meyrink Gustaw: Golem.

Meyrink Gustaw: Zielone oblicze.

Meyrink Gustaw: Biały Dominikanin.

Meyrink Gustaw: Noc Walpurgji.

Meyrink Gustaw: Cudowny róg.

Meyrink Gustav: Pisma.

Nikorowicz Ignacy: Noc poślubna.

Schmidt Dr. Piotr: Teoria i praktika operacji wedle metody Steinacha.

Schnitzler Artur: Grecka tancerka.

Schnitzler Artur: Dusze zmroku.

Spengler Oswald: Zmierzch północy (2 tomy).

Steinach Prof. Dr. E.: Odmłodzenie (przez eksperymentalneżywienie starzejącego się gruczołu płciowego) z ryc.

Wasserman Jakób: Chrystjan Wahnschaffe.

Wasserman Jakób: Nigdy niecałowane usta.

Wilde Oskar: Obraz Dorjana Greya.

Wilde Oskar: Pleban i ministrant.

Biblioteka bajek pod redakcją Lucjana Franka Erdtrachta.

The background of the image is a complex marbled paper pattern. It features dark, swirling, and wavy lines in shades of black, dark grey, and charcoal, set against a lighter, textured grey background. The pattern is reminiscent of traditional marbling techniques, creating a sense of movement and depth. In the upper right corner, there is a circular white sticker with a thin red border. Inside the sticker, the letter 'F' is printed in a large, bold, black font above the number '21930', which is also in a bold, black font.

F
21930